





5.





3  
OSTATNI

M O H I K A N



**O S T A T N I**  
**M O H I K A N .**

**POWIEŚĆ HISTORYCZNA**

z roku 1757.

**JAKÓBA FENIMORA KUPERA.**

**TŁUMACZONA**

**PRZEZ**

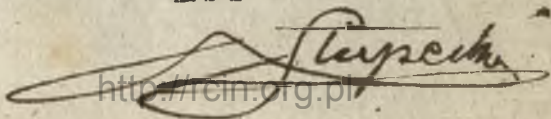
**FELIXA WROTNOWSKIEGO.**

**TOM DRUGI.**

**WARSZ.**

**W DRUKARNI B. NEUMANA.**

**1830.**

  
<http://rcin.org.pl>

Dozwala się drukować, z tym warunkiem, aby  
po wydrukowaniu złożone były trzy exem-  
plarze w Komitecie Cenzury. Wilno 1829  
roku d. 7 Grud.

*Cenzor Leon Borowski.*



---

# OSTATNI MOHIKAN.

---

## ROZDZIAŁ. PIERWSZY.

„Jeżeli mu przebaczę, niech zginie me plemię!“

*Szekspir.*

**M**AGUA zamierzył popasywać na jednym z tych piramidalnych, jakby ręką ludzką usypanych wzgórków, których mnóstwo znajduje się na dolinach Stanów Zjednoczonych. Wzgórek ten, był wysoki i spadzisty, miał wierzchołek spłaszczony i bok jeden bardzo nierówny. Cała dogodność tego miejsca, jak się zdawało, zależała na tem, że przystęp był niepodobny prawie, a odpór łatwiejszy niż gdziekolwiek indziej. Hejward po tak długim przeciągu czasu i tylu milach drogi,

straciwszy nadzieję odsieczy, cały zajęty pocieszaniem nieszczęśliwych towarzyszek, widział to wszystko obojętném okiem. Koniom zdjęto uzdzenie, żeby się pały rżadką i nędzną trawą lesną, a przed czworogiem jeńców, pod cieniem nachylonej brzozy, położono resztki żywności, zabrane z jaskini.

Mimo pośpiech w drodze, Indyanin jeden znalazł porę przeszyć strzałą jelonka, i niósł go na plecach aż do popasu. Towarzysze jego teraz wybierając, podług swego zdania, delikatniejsze kawałki rozplątanej na prędcie zwierzyny, jedli je surowe i bez żadnej przyprawy. Magua tylko nie należał do tej odrażającej uczy: siedział on o kilka kroków dalej i jak się zdawało, mocno był zamyślony.

Dziwna ta wstrzemięźliwość w dzikim, zastanowiła majora. Wniósł sobie że Huron rozmyślał nad tém, jakimby sposobem oszukać czujność towarzyszków i otrzymać obiecaną nagrodę. Chcąc przeto dopomódz mu

radą w układaniu zamiarów i nowemi pojęciami chciwość zaostrzyć, wstał z miejsca, przeszedł się trochę i niby nieumyślnie stanął przed nim.

— Czy Magua nie dość długo szedł twarzą do słońca, żeby się jeszcze obawiać Kandyjczyków? — zapytał go tak poufale, jak gdyby o dobrém porozumieniu między nimi, żadnej wątpliwości nie było. — Czy nie należałoby dowódcy William Henryka odprowadzić jego córek, nim mu serce zatwardnieje na ich stratę, i ręka stanie się mniej hojną?

— Alboż twarze blade mocniej kochają swoje dzieci dziś wieczorem, niżeli jutro rano? — zapytał Indyanin oziębłe.

— Nie, zapewne, — odpowiedział major śpiesznie poprawując się na słowach; — człowiek biały może zapomnieć i zapomina niekiedy o mogiłach swych przodków; przestaje niekiedy myśleć o tych, co powinien był i przyrzekł kochać zawsze; ale miłość jego

ku dziecióm, tylko z nim samym umiera.

— To więc serce starego wodza białych tak jest czułe? — zapytał Magua. — Długo będzie pamiętał on o dzieciach, które mu jego skwawy (\*) powiły? Dla swoich wojowników jest on srogi i ma kamienne oczy.

— Jest on surowy względem przestępnych, bo powinność wymaga tego po nim, — rzecze major; — ale względem postępujących dobrze, jest on ludzki i sprawiedliwy. Znałem ja wielu najlepszych ojców, ale żaden z nich nie miał tak wylanego serca dla dzieci. Ty Magua, tylko w pierwszych szeregach wojowników widywałeś Siwą Głowę; ja zaś widziałem go wtenczas, kiedy mówiąc o córkach, które teraz są w twojej mocy, zalewał się łzami.

Hejward nie wiedząc jak ma sobie tłumaczyć wyraz twarzy Indyanina słuchającego pilnie, zamilkł nagle. Zdawało mu się z po-

---

(\*) Tak Indyanie swoje żony nazywają.



czątku, że zapewnienie o miłości Munra ku dzieciom, czyniąc Huronowi nadzieję tém świetniejszej i obfitszej nagrody, było powodem jego widocznej radości; ale wkrótce radość ta zaczęła stawać się tak dziką i okropną, iż słusznie należało lękać się, aby nie była jej źródłem namiętność bardziej silna i straszna, niż chciwość.

— Odejdź, — rzecze Magua do Hejwarda, w mgnieniu oka wszelką oznakę wzruszenia zamieniając na spokojność grobową; — odejdź i powiedz dziewczynie czarno okiej, że Magua chce z nią pomówić. Co córka przyrzecze, ojciec nie zapomni o tém.

Dunkan mniemając, że dziki chciał pozyskać od Kory, albo obietnicę większych jeszcze darów, albo zaręczenie przyrzeczonej już nagrody, pośpieszył do dwóch sióstr wypoczywających pod brzozą i oznajmił starszej wolą Magui.

— Znasz Koro, jakiego rodzaju są żądze Indian, — rzecze major prowadząc swą to-

warzyszkę na miejsce gdzie Lis jej czekał.—  
Bądź hojna w obietnicach prochu, odzieży,  
a najbardziej wódki, bo za tém przepadają  
wszystkie pokolenia dzikich. Nie źle byłoby  
także, żebyś z tym wdziękiem jaki tobie  
jest właściwy, ofiarowała mu cokolwiek  
od siebie samej. Pamiętaj Koro, że może  
od twojej zręczności i przytomności umysłu,  
zależy teraz życie twoje własne i Aliny.

— I twoje Hejwardzie ?

— Mniejsza o moje; poświęciłem je królowi,  
a za tém każdy nieprzyjaciół, za pierwszą  
zręcznością ma prawo je wydrzeć. Nie mam  
ojca, coby płakał po mnie; nie wielu  
przyjaciół poświęci łączę wczesnemu  
zgonowi, którego tyle razy na drodze sławy  
szukałem. Ale cicho! jesteśmy już blisko  
Indyanina. Oto, Magua, masz przed sobą  
młodą damę, z którą chciałeś mówić.

Huron podniósł się zwolna i więcej  
minuty stał w milczeniu. Skinął potem ręką

ką, jakby dając znak majorowi żeby się oddalił.

— Kiedy Huron mówi z kobietami, — rzecze oziębłe, — całe jego pokolenie ma zakłnięte uszy.

Duncan wahał się jeszcze.

— Odejdź Hejwardzie, — rzecze Kora z uśmiechem spokojnym; — delikatność wymaga tego po tobie. Idź do Aliny i staraj się pocieszyć ją dobrą nadzieją.

Kiedy odszedł, odezwała się natenczas do Magui głosem pewnym i z całą godnością płci swojej:

— Co Lis ma powiedzieć córce Munra?

— Słuchaj, — rzecze Huron kładąc jej rękę na ramię, jakby dla mocniejszego zwrócenia uwagi. Kora spokojnie lecz śmiało cofnęła się od niego, a Indianin tak mówił dalej: — Magua był wojownikiem i wodzem wśród Huronów nadjeziernych. Dwadzieścia razy słońce letnie, spędziło do rzek śniegi i lody zimowe, nim pierwszy raz zobaczył

twarz blada, nim przestał być szczęśliwym. Ale gdy jego ojcowie Kanadyjscy przyszedli w głąb lasów i nauczyli go pić wodę ognistą, stał się szalony. Huronowie pędzili go jak wściekłego bawołu i przepędzili daleko od pradiadowskich mogił. Poszedł więc brzegiem jeziora i zaszedł do Kanonburga. Żywił się tam z rybołówstwa i polowania; lecz znowu popełniło go między nieprzyjaciół w lasy: aż nakoniec wódz urodzony Huronem, został wojownikiem Mohawków.

— Słyszałam coś o tem wszystkiém,— rzecze Kora widząc że dziki hamując w sobie popęd gniewu, obudzonego wspomnieniem doświadczonych niesprawiedliwości, zamilkł na chwilę.

— Czyliż Magua winien temu, że jego głowa nie ze skały?— odezwał się Indyanin znowu— Kto mu podał pić wodę ognistą? Kto go szalonym uczynił? Twarze to blade, ludzie twojego koloru.



— Jeżeli między ludźmi jednąż ze mną mającemi farbę, są zli lub nierozważni, czyliż słusznie mam pokutować za to?

— Nie; Magua jest mąż, a nie głupiec. Wie on, że takie jak ty kobiety nie otwierają ust nigdy na przyjęcie wody ognistej; Duch Wielki dał wam mądrość.

— Cóż więc mogę powiedzieć lub uczynić względem twych nieszczęść, albo może i błędów?

— Słuchaj! mówiłem już. Kiedy wasi ojcowie anglicy i francuzi odkopali siekierę wojny, Lis podniósł swój tomahawk i razem z Mohawkami poszedł przeciw własnemu narodowi. Twarze blade odparli ludzie czerwonych w głąb lasów, i teraz jeżeli się hijemy, biały dowodzi nami. Stary wódz Horykanu, ojciec twój, był wielkim naczelnikiem narodu naszego. Mówił on Mohawkom: róbcie to, róbcie owo, i słuchano go. Postanowił przy tém prawo, iż jeśli Indyanin napije się wody ognistej i wejdzie do

płóciennych wigwamów jego żołnierzy, będzie ukarany za to. Magua nierozważnie otworzył usta i gorący napój wciągnął go do chaty Munra. Cóż wtenczas uczynił Siwa głowa?

— Zachował się podług prawa ustanowionego przez się i karząc winowajcę wymierzył sprawiedliwość.

— Sprawiedliwość!—powtórzył Indyanin rzucając z pode łba dzikie spojrzenie na łagodną i spokojną twarz Kory;— czy to sprawiedliwość, bydz przyczyną złego i karać za nie innych? Magua nie był winien: gorzałkato czyniła i gadała przez niego. Ale Munro nie chciał uwierzyć temu; wódz Huronów został schwytany, przywiązany do słupa i jak pies ćwiczony różgami w obecności wszystkich wojowników białych.

Kora milczała nie wiedząc jak usprawiedliwić w oczach Indyanina, ten surowy, a może poniekąd i nieroztropny postępek swojego ojca.

— Zobacz!— mówił dalej Magua rozchylając na swych piersiach lekką tkaninę indyjską;— oto blizny od kul i nożów: wojownik nie wstydzi się pokazać ich przed całym narodem; ale Siwa głowa na plecach Hurońskiego wodza porobił inne znaki, które on jak skwawa pod tém płótnem, rękami ludzi białych farbowaném, ukrywać musi.

— Ja sądziłam że wojownik indyjski jest cierpliwy, że jego duch nie czuje, nie podziela cierpień zadanych jego ciału.

— Kiedy Czippewy uwiązali Maguę do słupa i zadali mu tę ranę,—rzecze Huron z chlubą prowadząc rękę wzdłuż wielkiej blizny przepasującej mu całe piersi,—Lis śmiał się im w oczy i powiedział, że tylko skwawy tak niedołąźnie ranią. Duch jego natenczas unosił się wyżej obłoków; ale kiedy czuł upadające razy Munra, duch jego był pod ziemią. Duch Hurona nie upija się nigdy; nigdy pamięci stracić nie może.

— Ale uspokojony bydz może. Jeżeli

mój ojciec wyrządził ci niesprawiedliwość, pokaż mu, oddając córki, że Huron umie przebaczać krzywdy. Wiesz co przyrzekł major Hejward; ja nadto z mojej strony....

Magua wstrząsnął głową i niepozwoilił wyliczać darów.

—Czegoż więc żądasz?—zapytała Kora boleśnie przekonana, że szlachetną szczerość Hejwarda, zawiodła złośliwą obłudą dzikiego.

— Czego żądam? Huron zawsze żąda, dobre za dobre, a złe oddać za złe.

— Chcesz tedy pomścić się krzywdy poniesionej od Munra na jego córkach bezbronnych? Ja mniemałam, że taki wódz jak Magua, będzie uważał za rzecz godniejszą męszczyzny, starać się spotkać go osobiście i zwyczajem wojowników dopomnieć się o słuszość.

—Twarze blade mają ręce długie i noże wyostrzone dobrze, — odpowiedział Indyanin z uśmiechem dzikiej radości.—Pocóż Lisowi Chytremu iść między karabiny wojo-



wników białych, kiedy duch swego nieprzyjaciela ma w ręku?

— Powiedz mi przynajmniej, Magua, jakie są twoje zamiary? — rzecze Kora, prawie z nadludzką mocą utrzymując powierzchowną spokojność. — Czy myślisz prowadzić nas w niewolę za lasy, czy tu nam śmierć zadać? Powiedz, niemożnaż żadnym już sposobem wynagrodzić ci krzywdy i ułagodzić serca? Daj przynajmniej wolność mojej siostrze, a na mnie zwał cały ciężar twojego gniewu. Pozyskaj bogactwa za jej okup od ojca i przestań na poświęceniu jednej ofiary dla twojej zemsty. Strata obu córek wpędziłaby starca do grobu, a jakaż ztąd korzyść, jaka przyjemność wynikłaby dla Lisa?

— Słuchaj jeszcze! Dziewczyna z błękitnymi oczyma będzie mogła powrócić nad Horykan i opowiedzieć staremu wodzowi wszystko co się stało, jeżeli dziewczyna czarownika przysięże mi na Wielkiego Ducha swych ojców, że nie skłamię przede mną.

— Ale jakiejże prawdy, jakiej obietnicy chcesz ode mnie?—zapytała Kora, ciągle przez swoją krew zimną i godność utrzymując na wodzy niepohamowane chuci dzikiego.

— Kiedy Magua opuścił swoje pokolenie, żona jego dostała się innemu wodzowi. Teraz zaś gdy się pojednał z Huronami i wraca do mogił swych ojców nad jezioro wielkie, niech córka wodza angielskiego zgodzi się pojsdź za nim i na zawsze w jego wigwamie pozostać.

Jakkolwiek oburzająca była ta propozycja, Kora potrafiła jeszcze panować nad sobą i odpowiedziała bez najmniejszego zuałku wzruszenia.

— I jakąż Magua miałby przyjemność pódzielać swój wigwam z kobietą, której nie kocha, z kobietą innego rodu, innej farby ciała? Czy nie lepiej żeby przyjąwszy złoto od Munra, hojnością pozyskał rękę i serce młodej jakiej Huronki?

Indyanin blisko minuty nie odpowiadał

Korze, lecz jego wzrok dziki z takim wyrazem zwracał się na nią, że musiała spuścić oczy i lękać się nowej jakiej propozycji szkaradniejszej jeszcze. Nakoniec Magna odezwał się tonem najdotkliwszego urągania.

— Kiedy różgi padały na plecy wodza Huronńskiego, wiedział już on wtenczas, gdzie znajdzie dla siebie żonę, któraby to ścierpiała. Co za rozkosz dla Magui patrzeć co dzień, jak córka Munra, sieje i zbiera jego zboże, nosi mu wodę i piecze zwierzynę! Ciało Siwej głowy będzie mogło zasypiać pod obroną armat; ale duch jego! ha! ha! będzie pod nożem u Chytrego Lisa.

— Potworo! — zawołała młoda piękność z gniewem i zapalem miłości dziecinnej, — godnie odpowiadasz danemu ci przezwisku! Sam szatan chyba tylko wymyśliłby podobnie okrótną zemstę! Ale zbyt wiele rozumiesz o twojej władzy. Poznasz że prawdziwy duch Munra masz w twoim ręku,

i twoja złośliwość nie mu poradzić nie zdoła!

Na to uniesienie czułości, Huron odpowiadając tylko wzgardliwym uśmiechem, dał poznać niezmiennność swego postanowienia, i skinął ręką, jakby na znak że już nie ma nic mówić.

Kora żałując prawie, że zbyt porywczo postąpiła, musiała odejść, bo Magua już się zawrócił i poszedł do towarzyszków, kończących swój obiad zwierzęcy. Hejward wybiegł na spotkanie Kory i zapytał o wypadku rozmowy, podczas której nie spuszczał oka z obojga rozmawiających. Ponieważ byli już tylko o parę kroków od Aliny, Kora lekając się powiększyć jej przestrachu, starała się uniknąć odpowiedzi wyraźnej; lecz z jej wybladłej i zmienionej twarzy, z jej niespokojnych spojrzeń na strażników, łatwo było poznać że nic pomysłnego donieść nie miała.

Alina zapytała ją z kolei, czy wie przynajmniej jaki los ich czeka. Kora nie mogąc



wytrzymać dłużej dręszącego uczucia, przycisnęła siostrę do siebie i wskazała ręką na gromadę dzikich.

— Patrz tam! patrz! Czy nie widzisz? Los nasz, z ich twarzy wyczytać można.

Gwałtowne to poruszenie i głos przerywany, bardziej niż same słowa, przeraziły nieszczęśliwych jeńców. Wszyscy spojrzeli w stronę, gdzie oczy Kory zatrzymały się z natężeniem uwagi, jakiej aż nadto wymagała chwila tak stanowcza.

Magua przystąpiwszy do dzikich, z niedbałością bydlęcą powyciąganych na ziemi, zaczął mowę toniem powagi wodza indyjskiego. Za pierwszém słowem zerwali się wszyscy i przybrali postawę pełnej uszanowania baczności. Choć czujni strażnicy niedaleko siebie umieścili jeńców, ci jednak nierozumiejąc języka Magui, tylko z odmian jego głosu i z tych poruszeń wyrazistych, jakie zwykle towarzyszą krasomówstwu dzikich, mogli domyślać się o co rzecz chodziła.

Z początku równie postać jak mowa jego była spokojna i łagodna. Kiedy już pozyskał całą uwagę towarzyszków, Hejward wniósł z częstego zwracania ręki w stronę jezior wielkich, że mówił im o kraju przodków, lub o dalekim ich narodzie. Słuchacze kiedy niekiedy lekkim wykrzyknieniem dawali mu oklask niby, i poglądali jeden na drugiego jakby zadziwieni wymową.

Lis przebiegły nie zaniechał korzystać z tego powodzenia. Zaczął wystawiać im naprzód, jak długą i trudną drogą, opuściwszy rodzinne wigwamy i lasy, szli walczyć za swych ojców Kanadyjskich. Wspominał potem wojowników ich narodu, słaawił ich dzieła, opisywał rany, wyliczał jak wiele głów odarli i niezapomniał pochwalić każdego z obecnych, a o którym w szczególności mówił, na tego twarzy jaśniała duma, ten nie wahał się nawet oklaskiem potwierdzić dawanej sobie pochwały.

Wyliczywszy dawne bitwy i zwycięstwa

z zapałem tryumfu, zniżył głos i poprostu zaczął opisywać wodospad Glenu, niedostępne położenie wysepki, jej skały, jej jaskinie, jej przepaści z obu stron, a wymówiwszy: Długi Karabin, zatrzymał się aż póki ostatnie echo nie powtórzyło przeciągłego wycia, jakie powstało na wzmiankę tego imienia. Wskazał potem palcem młodego jeńca angielskiego i opisał zgon Hurona strąconego przezeń ze skały. Odmalowawszy następnie śmierć tego, co zawieszony między ziemią a niebem, długo stawiał okropny widok, rozwodził się szeroko nad jego mężstwem i nad szkodą, jaką poniósł naród ze straty tak odważnego wojownika. Uczcił równaż pochwałą wszystkich poległych podczas zdobywania wyspy i pokazał na swoim ramieniu ranę, którą sam odebrał.

Skończywszy opisy świeżo zaszłych wypadków, zmienił ton znowu i gardłowym, słodkim, żałośnym głosem, zaczął mówić o wdowach i sierotach wojowników pobi-

tych. Wystawiał jaka boleść ich spotka, jaka nędza ich czeka, jaka zemsta im należy.

Wtém nagle pozwalając całej mocy swym piersiom zawołał z uczuciem: — Czy Huronowie są psy żeby znosili to wszystko? Kto pójdzie powiedzieć żonie Menowguma, że jego ciało pożerają ryby, a rodacy nie pomścili się za niego? Kto będzie śmiał przed matką Wassawatimy, przed tą dumną kobietą stanąć z rękoma nie zbrczonemi we krwi? Co odpowiemy starcom pytającym nas wieleśmy głów obdarli, kiedy ani jednych włosów nie będziemy mieli im pokazać? Wszystkie kobiety będą palcami nas wytykały. Czarna stąd plama została by na imieniu Huronów, a żeby ją zmyć, krwi potrzeba.

Głos jego zniknął w tłumie wściekłych okrzyków, jak gdyby tu na wierzchołku góry nie sześciu, lecz całe pokolenie Indyan było.

Nieszczęśliwi, których mowa Magui obchodziła najwięcej, wyraźnie widzieli na



twarzach słuchaczów jego, że pomyślnie zmierzał do założonego celu. Posępne mallowidło klęsk i cierpień, wydarło im z piersi jęk bolesny; obrazy zwycięstw, wzbudziły okrzyk radośny; pochwałom, odpowiadały potwierdzające skinienia. Kiedy mówił o męztwie, oczy ich nowym iskrzyły się blaskiem; kiedy wystawiał jak wżgardliwie przyjmą ich kobiety w narodzie, wszyscy pospuszczali głowy; lecz kiedy wezwał zemsty, dając razem uczuć że ta jest w ich ręku, dotknął natenczas stróny, której dźwięk nigdy naprózno nie odzywa się w sercu dzikiego: rozjuszeni Huronowie nagle wydali wrzask wściekły i z podniesionym tomahawkiem w jedném, a z nożem w drugiem ręku, rzucili się na jeńców.

Hejward postrzegłszy to, własnymi piersiami zasłonił obie siostry, i chociaż bezbronny, uderzając z całą mocą rospaczy na pierwszego co się zbliżył, potrafił na chwilę przynajmniej wstrzymać jego zapęd, tem

łatwiej, że dziki nie spodziewał się oporu. Z powodu tego zdarzenia Magna znalazł czas wdać się jeszcze, i bardziej przez gwałtowne poruszenia, niżeli krzyk donośny, zwrócił na się uwagę towarzyszków. Ale uczucie wcale różne od litości powodowało nim teraz. Zabierając głos znowu, miał na celu przełożyć słuchaczóm, żeby zamiast zadania prędkiej śmierci, starali się przedłużyć zgon swych ofiar. Myśl tę przyjęto z okrzykiem dzikięj radości i natychmiast zaezęto czynić przygotowania do morderstw.

W tejże chwili dwóch ogromnych Indian rzuciło się na Hejwarda, a trzeci uważając psalmistę za mniej strasznego przeciwnika, zajął się nim sam jeden. Obadwa jeńcy wszakże nie ulegli bez mężnej, chociaż daremnej, obrony. Dawid nawet obalił swojego mordercę i wprzód musiano go przemódz, żeby potem wspólnemi siłami podo-

łać majora. Skrępowano ich nakoniec wiotkiemi gałęzmi i przywiązano do sosny.

Kiedy Dunkan miał już czas podnieść oczy na swoje towarzyszki, postrzegł z boleścią, że wszystkich jednaki los czekał. Po prawej jego stronie Kora podobnie przywiązana do drzewa, chociaż blada i wzruszona, wzrokiem mężnym i śmiałym śledziła wszystkie kroki nieprzyjaciół. Po lewej, Alina, martwa raczej niż żywa, nie mogąc utrzymać się na nogach, wisiała na więzach krępujących ją do brzozy. Głowa jej opadła na piersi, ręce były złożone jak przy modlitwie, ale zamiast tego coby miała wzniesć oczy do nieba, skąd jedynie tylko pomocy spodziewać się mogła, wlepiła je w Dunkana z obłąkaniem, mającém jakiś wyraz prostoty dziecinnej. Dawid po pierwszej walce w swem życiu, zdziwiony prawie i cały zajęty tą okolicznością, tak nową dla niego,

zastanawiał się w milczeniu, czy godziło się mu postąpić w ten sposób.

Tym czasem Huronowie podżegani coraz gorętszym pragnieniem zemsty, gotowali się ją nasycić przez wszystkie środki okrucieństwa, jakie od wielu używane więków, stały się pospolitemi w ich narodzie. Jedni zbierali gałęzie i robili z nich stosy koło nieszczęśliwych ofiar; drudzy czesali drewniane gwoździe do zapędzania w ciało jeńców podczas palenia ich na ogniu powolnym. Dwaj z pomiędzy nich usiłovali nagiąć dwie młode sosenki stojące obok, żeby przywiązawszy do wierzchołków ręce Hejwarda, puścić je potem w górę. Ale te rozmaite męczarnie nie wystarczały jeszcze na zaspokojenie zemsty Magui.

Kiedy mniej dowcipni barbarzyńcy, w oczach nieszczęśliwych jeńców, robili przygotowania tylko do zwyczajnych i pospolitych morderstw; on tymczasem zbliżył się

do Kory i ukazując jej narzędzia śmierci, rzekł z uśmiechem piekielnym:

— Cóż teraz córka Munra powie na to? Czy jej głowa zbyt dumna żeby spoczywać miała na poduszce w wigwamie Indyanina, woli taczać się u podnoża góry jak okrągły kamień i wilkóm za igraszkę służyć? Jej pierśi nie chcą karmić dzieci Hurona, dobrze więc, Huronowie będą plwali na nie.

— Co tam ten potwór mówi? — zawołał Hejward, nie pojmując znaczenia słów jego.

— Nic, — odpowiedziała Kora, równie łagodnie jak mężczyzna: — jest to barbarzyńiec ciemny i dziki; nie wie on sam co mówi i co czyni. Poświęćmy ostatnie chwile nasze na ubłaganie nieba, żeby oświeciwszy go, raczyło mu przebaczyć.

—Przebaczyć! — powtórzył Indyanin w szaleństwie gniewu rozumiejąc mylnie, że to jego o przebaczenie błagano. — Pamięć Hurona jest dłuższa niżeli ręka twarzy bladej, a łaskawość jego krótsza niż sprawiedliwość



białych. Mów: czy mam odesłać ojcu głowę z włosami światłemi, i dwóch innych towarzyszków twoich? Czy zgadzasz się pójść za Maguą nad jezioro wielkie, żeby mu nosić wodę i jedzenie gotować?

— Daj mi pokój! — odpowiedziała Kora z gniewem, którego już ukryć nie mogła, lecz razem tak uroczystym tonem, że pokłoniła dzikiego na chwilę: — ostatnie modlitwy zatruwasz mi goryczą i stajesz między mną a Bogiem moim.

Lekkie wrażenie, jakie słowa te uczyniły na barbarzyńcy, nie trwało długo.

— Patrz, — rzecze ukazując jej Alinę z radością tyrańską; — ona płacze; ona zbyt jeszcze młoda dla śmierci! Odeszlij ją Munrowi, niech ma staranie koło jego włosów siwych i utrzymuje życie w piersiach starca.

Kora prawie mimowolnie rzuciła spojrzenie na siostrę i postrzegła w jej oczach przestrach, rozpacz, a razem miłość życia, tak właściwą wszystkiemu co oddycha.

— Co on mówi kochana Koro? — zawołała Alina głosem drżącym; — zdaje się powiedział że nas odeszle do ojca?

Kora miotana walką śpierzających się uczuć, długo trzymała oczy wlepione w siostrę i nie mogła odpowiedzieć. Nakoniec odzyskała władzę mówienia, a głos jej zwykle pełny i mocny przyjął ton tkliwości macierzyńskiej prawie.

— Alino, — rzecze, — Huron ma nam obdarować życie; więcej jeszcze, przyrzeka was, ciebie i naszego Dunkana, uwolnić, powrócić przyjaciółom i nieszczęśliwemu ojcu, jeżeli . . . . . jeżeli ja zdołam to serce nieposłuszne, godność własną, przewyciężyć do tego stopnia żebym . . .

Zabrakło jej głosu; załamała tylko ręce i wzniosła oczy do nieba, jakby błagając mądrości nieskończonej o natchnienie, co mówić, co czynić.

— Żebyś, co? — zawołała Alina, — kończ droga Koro! czego on wymaga od ciebie? Oh

czemuż to nie na mnie ta kolej! Najchętniej gotowabym umrzeć dla ocalenia ciebie, dla ocalenia Dunkana, dla zachowania choć jednej pociechy nieszczęśliwemu ojcu!

—Umrzec,— powtórzyła Kora spokojniejszym i mocniejszym głosem; — śmierć byłaby niczém; ale o daleko straszniejszą rzecz idzie! Chce on, — mówiła dalej spuściwszy głowę ze wstydu, że musi objawiać poniżającą propozycją, jaką jej dziki uczynił;— chce on, żebym poszła za nim na pustynię, żebym zamieszkała wśród Huronów, żebym pędziła z nim całe me życie, słowem, żebym została jego żoną! Powiedz teraz Alino, najmilsza siostró moja, powiedz majorze Hejwardzie; wesprzyjcie radą słaby mój rozum: mamże taką ofiarą was okupić? Alino, Dunkanie, czy chcecie za taką cenę przyjąć życie z rąk moich? Mówcie! powiedzcie oboje, co mam czynić; ja się spuszczam na was.

— Czy ja chcę życia za taką cenę! — zawo-

łał major z gniewem.— Koro! Koro! nie urągaj się naszej boleści! nie mów więcej o tym szkaradnym sposobie okupu! sama myśl o tém straszniejsza nad tysiące śmierci!

Na te słowa twarz Kory słabym ożywiła się rumieńcem i oczy zajaśniały krótką błyskawicą — Wiedziałam,— rzecze,— że Hejward tak odpowie; ale co mówi droga Alisia moja? Nic nie masz czego bym dla niej uczynić nie była gotowa, bez najmniejszego szemrania nawet.

Hejward i Kora z najżywszą uwagą słuchali w milczeniu, ale żadnej odpowiedzi doczekać się nie mogli. Rzekłby kto, że ostatnie słowa zniszczyły, albo przynajmniej zatamowały władze życia w Alinie. Ręce jej opadły ku ziemi i tylko lekkie drganie poruszało palce; głowa skłoniła się na piersi, kolana ugięły się pod nią; zawisła na przepasce z gałązek, krępującej ją do brzozy. Po kilku chwilach jednak słaby rumieniec ożywił jej policzki; znaczącym

wstrząśnieniem głowy dała poznać, jak daleką jest od zezwolenia na ofiarę siostry. Nakoniec przygasałe jej oczy nowym zajaśniały blaskiem i zawołała z uczuciem:

— Nie, nie! umrzyjmy raczej! Żyłyśmy i umierajmy razem!

— Dobrze więc, umieraj! — zawołał Magua zgrzytając zębami ze złości, że młode dziewczę nad spodziewanie jego taką okazało moc ducha, i cisnął na nią siekierę. Zabójcze żelazo błysnąwszy mimo oczu Hejwarda utonęło w drzewie o cal nad głową Aliny i tylko ucięło jeden pukiel pięknych jej włosów.

Widok ten wściekłością zapalił Hejwarda, rozpacz dodała mu sił nadludzkich: targnął się gwałtownie i zerwawszy więzy, skoczył przeciw drugiemu barbarzyńcy, który z przeraźliwym wyciem podniósł swój tomahawk, żeby pewniejszym ciosem ugodzić ofiarę. Dwaj przeciwnicy pasując się przez chwilę w objęciach wzajemnych



padli na ziemię; lecz nagi prawie Haren łatwo wymknął się z rąk majora i przytłoczywszy go kolanem, podniósł nóż w górę; ale nim błyszczące ostrze zdołało przeszyć serce Dunkana, kula wyprzedzając huk strzału, świsnęła mu nad uchem, ciężar uwolnił jego piersi i morderca chwiejąc się padł przy nim bez życia.

---

## ROZDZIAŁ II.

---

Dobrze więc, dobrze; rzucę panów, rzucę;  
Lecz nie ja będę, jeśli znów nie wrócę.

*Szekspir.*

**N**A widok nagłej śmierci jednego z pomiędzy siebie, Huronowie stanęli jak wryci; a kiedy szukali oczyma śmiałka, co był tak pewny strzału, że nie lękał się zamiast nieprzyjaciela, ratowanego trafić, imie Długi Karabin wychodząc razem z ust wszystkich, oznajmiło majorowi kto był jego zbawcą. W tejże chwili wielki krzyk odpowiedział im blisko miejsca gdzie leżały ich strzelby, i pozbawieni przystępu do broni ognistej dzicy, wściekając się ze złości, zaryczeli znowu.

Sokole Oko nie miał cierpliwości nabić po raz drugi swojej rusznicy znalezionej pod krzakiem, i wielkim pędem wyskoczył z siekierą w ręku; ale jakkolwiek biegł szybko, wyprzedził go młody Indianin śpieszący za nim, i z ogromnym tomahawkiem w jednej, a z nożem w drugiej dłoni, stanął przed Korą. Tuż po nich trzeci, umalowany w straszliwe godła śmierci, ukazał się z niemniej groźnym zamachem. Wściekłe wycia Huronów zamieniły się na wykrzykniki podziwienia i wnet imiona — Jeleń Rączy! Wąż Wielki! — kolejno wymówione zostały.

Magua najpierwszy wyszedł z osłupienia, w jakie ich tak niespodziany wypadek wprowadził, i skoro postrzegł że tylko trzech nieprzyjaciół grozi, głosem i przykładem zagrzewając towarzyszków, uzbrojony w nóż tylko, z przeraźliwym wrzaskiem skoczył do Szyngaszguka, który zatrzymał się na przyjęcie jego. Było to hasło ogólnej po-

tyczki, i ponieważ Huronowie nie mogli, a Mohikanie dla pośpiechu strzelca, nie zdołali wziąć broni ognistej, zręczność więc i siła członków zwycięztwo stanowić miała.

Unkas, jako najbliższy nieprzyjaciół, naprzód napadniony został i pierwszemu co się do niego posunął, roztrzaskał tomahawkiem głowę. Zwycięztwo to zrównało liczbę stron obu; odtąd każdy jednego przeciwnika miał tylko. Hejward widząc że dziki leciał do niego z nożem, wyrwał na swą obronę siekierę Magui, będącą w drzewie nad głową Aliny.

Ciosy sypały się gradem i z równą prawie zręcznością odpierane były. W krótkce jednak siła Sokolego Oka pokazała swą wyższość: przeciwnik jego ugodzony tomahawkiem padł bez życia.

Tymczasem Hejward uniesiony zbyt porywczym zapałem, nie czekając póki jego napastnik zbliży się dosyć, cisnął siekierę. Trafiony w czoło dziki posłonił się na bok

i zatrzymał się w biegu. Popędliwy major tym pozorem zwycięstwa zagrzany jeszcze bardziej, bez broni rzucił się do niego; lecz natychmiast poznał, jak nierozważnie uczynił, bo musiał użyć całej przytomności umysłu, całej mocy ciała, żeby uniknąć natarczywych pchnięć nieprzyjacielskiego noża. Nie mając innego sposobu ratunku, chwycił Hurona w objęcia i przycisnął go mocno do siebie; ale to wytężenie sił nie mogło trwać długo: czuł już nawet że wkrótce dziki uczyni z nim co zechce, kiedy w tém grzmiącym głos zawołał mu nad uchem:

— Śmierć i wytępienie! Nie masz pardonu przeklętym Mingóm!

W tejże chwili ciężka kolba rusznicy strzeleckiej zwałając się na ogoloną głowę Hurona, wyprawiła go do towarzystwa poległych jego rodaków.

Na początku bitwy piąty Huron nie mając przeciwnika, posunął się zrazu w pomoc Magui walczącemu z Szyngaszgukiem,



lecz piekielny duch zemsty wnet inną myśl mu natchnął. Zwróciwszy się nagle, z przeraźliwym krzykiem podskoczył do Kory, i z daleka jeszcze rzucił na nią siekierą, jakby oznajmując co ją czeka. Ostre narzędzie zadrasnęło tylko drzewo i przecięło sploty krępujące brankę. Uwolniona Kora zamiast coby miała uciekać, przybiegła do Aliny i tuląc ją do siebie, drżącymi rękami starała się rozerwać jej więzy. Szlachetny ten rys przywiązania zmięczyłby każdą inną potworę, prócz Hurona. Chciwy krwi barbarzyńiec, dognał Korę i chwyciwszy ją za włosy wolno puszczone po jej szyi i ramionach, odwrócił ją twarzą do siebie, żeby widziała nóż, co tak okrutnym sposobem miał zdjąć tę piękną ozdobę z jej głowy. Ale za ten moment tyrańskiej uciechy ciężko przyplącił morderca: Unkas w tej chwili rozciągnawszy trupem pierwszego nieprzyjaciela, rzucił wzrok koło siebie, jak rozjuszony lew nowej, szukając

zdobyczy i postrzegł to okrótnie widowisko. Piorun nie uderzyłby prędzej od młodego Mohikana. Zamach jego był tak gwałtowny, że obadwa padli razem. Lecz i obadwa w oka mgnieniu zerwali się z ziemi: a chociaż ich zawziętość była równa, chociaż ich krew się łączyła wspólnie, potyczka jednak zakończyła się prędko, bo kiedy nóż Unkasa przeszywał serce Hurona, tomahawk Hejwarda i kolba strzelca zdruzgotały mu czaszkę.

Walka Wielkiego Węża z Lisem Chytrym nie mogła rozstrzygnąć się jeszcze. Dzicy ci bohaterowie godnie odpowiadali znaczeniu danych im przydomków. Po wielu ciosach z zawziętością śmiertelną wymierzonych i odparty niebezpiecznie, chwycili jeden drugiego i razem padłszy na ziemię toczyli bój, jak dwa splecione węże.

Kiedy inne potyczki ukończone już zostały, obłok kurzu i suchych liści, jakby wichrem kręcony, ukazał miejsce ich bitwy.

Powodowani, każdy z osobna, miłością synowską, przywiązaniem i wdzięcznością, Unkas, strzelec i major pośpieszyli Szyn-gaszgukowi na pomoc. Ale próżno nóż Unkasa szukał przejścia do serca ojcowskiego nieprzyjaciela; próżno Sokole Oko podnosił i zniżał kolbę swej rusznicy, chcąc go w łeb ugodzić; próżno Hejward upatrywał chwili, żeby złapać rękę lub nogę Hurona: gwałtowne ruchy tarzających się we krwi i piasku zmieniały się tak szybko, iż dwa ich ciała zdawały się jednym. Nikt nie śmiał zadać ciosu lękając się pomylić i zgubę zamiast ratunku przynieść.

Były jednak, chociaż bardzo krótkie chwile, kiedy oczy Hurona straszne, jak owego potworu w bajkach bazyliszkiem zwanego, błyszcząc przez powłokę kurzu, spotykały natężony wzrok nieprzyjaciół groźących; ale nim przeznaczone mu ciosy spaść zdołały, już na tém miejscu ukazała się zapalona twarz Mohikana. Plac walki zmieniał

się nieznacznie i zapaśnicy zbliżali się nad urwisty brzeg góry. Szyngaszguk nakoniec potrafił ugodzić przeciwnika nożem: Magua opuścił ręce, westchnął ciężko i pozostał bez ruchu, a Mohikan wstając szybko, nappełnił lasy okrzykiem tryumfu.

— Górą Delawarowie! górą Mohikanie! — zawołał Sokole Oko, a potem dodał; — z tém wszystkiém nie ujmie to naszemu przyjacielowi czerwonemu, ani sławy, ani prawa do włosów tego łotra, jeżeli człowiek prawdziwie biały dokończy go porządkiem przypuszczeniem kolby.

To mówiąc podniósł swą rusznicę, ale nim zdołał ugodzić w łeb leżącego na wznak Hurona; Lis Chytry dał koziołka aż nad brzeg płaszczyzny, potoczył się z góry i zniknął w krzakach. Mohikanie najmocniej przekonani dotąd, że ich nieprzyjaciel śmiertelnie był pchnięty, okamienieli na chwilę, a potem z wielkim krzykiem rzucili się w pogoń, jak charty za upuszczonym

zwierzem. Lecz strzelec pominął miłość sprawiedliwości, względem Mingów przesądny zawsze, odwołał ich nazad.

—Dajcie mi pokój.—rzecze,—gdzież chcecie go znaleźć? pewno już wpadł do nory jakiej. Prawdziwie, nie darmo przezwano go Lisem! O, podły oszust! Uczciwy Delawar będąc zwyciężony w otwartej walce, bez oporu pozwoliłby się dobić; a te zbójcy Makwy to są jak dzikie koty; trzeba ich zabijać po dwa razy, żeby być pewnym, że nie odżyją. Dajcie mu pokój, niech sobie idzie! Cóż on nam zrobić może? Sam jeden, bez strzelby, bez tomahawku, daleko od Francuzów i od swoich, jest teraz jak wąż pozbawiony jadowitych zębów. Przynajmniej wprzód będziemy na bezpiecznym miejscu, nim on nam zaszkodzić potrafi. Ale, Unkas, — dodał po delawarsku, — oto już twój ojciec żnie włosy. Nie zawadzi, mnie się zdaje, obejrzeć tych łotrów, czy każdy doprawdy nieżyje, bo gdyby



wszyscy zaczęli powstawać jak tamten, mielibyśmy do czynienia na nowo.

To rzekłszy, poczciwy, lecz nieubłagany strzelec poszedł kolejno od jednego do drugiego trupa, i wszystkich pięciu poruszając nogą, albo nawet próbując końcem noża, zapewniał się czy nie żyje który, tak obojętnie, jak ów rzeźnik co ćwiartki baranów własną porźniętą ręką porządkuje na stole. Szyngaszguk nie mniej pilnie pozbierał z ich głów pamiątki zwycięstwa.

Unkas tymczasem odstępując swego zwyczaju, a może i skłonności nawet, delikatniejszym powodowany uczuciem, poszedł za majorem i pomagał mu uwalniać Alinę z więzów, czego Kora dokazać nie mogła. Zaledwo pękł ostatni skręt gałęzi, dwie siostry rzuciły się w objęcia jedna drugiej.

Próżnobyśmy usiłowali opisywać uniesienia wdzięczności dwóch czułych istot, dla najwyższego Sprawcy wszech zdarzeń, co im teraz niespodzianie powrócił życie i

nadzieję zobaczenia ojca. Modły ich były uroczyste lecz nieme. Alina z objęć siostry padła na kolana i znowu po chwili ręce wzniesione do nieba opuściła na jej szyję; a kiedy wśród tkliwych pieszczot oddawanych sownicy, ze łkaniem wymówiła imię ojca, iskra odżywionej nadziei błyszcząca w jej oczach zalanych łzami, całej twarzy nadała jakiś niebieski wyraz.

— Jesteśmy więc ocalone! — zawołała — jesteśmy ocalone! Uściśniemy jeszcze naszego ojca: strata córek nie rozedrze jemu serca. Koro! droga siostrze, więcej niż siostrze dla mnie! ty mi powrócona jesteś, i Dunkan, — dodała patrząc na niego z niewinnością anielską, — kochany, waleczny nasz Dunkan, także z niebezpieczeństwa wyrwany został!

Na te słowa wymówione z zapalem obłąkania prawie, Kora tylko serdecznem uściśnieniem odpowiedziała siostrze; Hejward nie mógł się od łez wstrzymać; a Unkas zbro-

czony krwią nieprzyjaciół i własną, chociaż miał postawę obojętnego widza tej rozrzucającej sceny, z jego spojrzeń jednak można było poznać, że już o wiele wieków podobno wyprzedził w uczuciu dzikich swych rodaków.

Tymczasem Sokole Oko upewniwszy się dostatecznie, iż żaden z nieprzyjaciół rozciągniętych na ziemi szkodzić już nie zdoła, zbliżył się do Dawida z przykładną cierpliwością znoszącego niewolą i porozrzynał jego więzy.

—No,—rzecze rzucając precz ostatni splot gałęzi, — otoż jeszcze raz możesz swobodnie swojemi członkami władać, chociaż nie lepiej ich używasz, jak je natura kształciła. Jeżeli nie obrazisz się radą człowieka, który lubo nie starszy od ciebie, przyjacielu, ale przepędziwszy większą część życia na pustyni, może rzec śmiało, że więcej ma doświadczenia niżeli lat, powiem ci co myślę. Zrobiłbyś bardzo rozumnie, gdybyś pierwszemu głupcowi, którego spotkasz,

przedał ten instrument, co ci tu wygląda z kieszeni, a za te pieniądze kupił rzecz użyteczniejszą, broń jaką, choćby najlichszy pistolet wreszcie. Tym sposobem przy staraniu i przemyśle mógłbyś z czasem przydać się na cokolwiek; bo co teraz, mnie się zdaje sam to widzisz, że kruk nawet więcej wart od przedrzeźniacza: pierwszy przynajmniej sprząta ścierwa i trupy, a drugi tylko swoim głosem zwodniczym oszukuje człowieka, kiedy i tak już wiele kłopotów w lesie.

— Broń, i trąby do bitew, a śpiew do składania dzięków Najwyższemu dawcy zwycięstw. — odpowiedział uwolniony śpiewak, ze łzami w oczach podając strzelcowi szczupłą i delikatną rękę. — Dziękuję ci przyjacielu, że mam jeszcze włosy na głowie; nie są one wprawdzie tak piękne i utrefione ładnie jak u innych, ale dla mnie bardzo dobre. Jeżeli nie pomagałem wam walczyć, nie mojej woli to wina; byłem związany. Ty dałeś dowody zręczności i męstwa, i zai-

ste godzien jesteś pochwał, kiedy chrześcijanin odłożywszy świętszą powinność, składa ci dzięki.

— Nie uczyniłem nic osobliwego, — odpowiedział Sokole Oko poglądając na Gamme mniej obojętnie, skoro ten w niewątpliwych wyrazach oświadczył mu wdzięczność; — nierazbyś to zobaczył, gdybyś dłużej pobył z nami. Ale ot znalazłem dawną towarzyszkę, danielówkę moję, — dodał uderzając po rurze swej strzelby, — i tego staje mi za zwycięstwo. Irokańczycy są przebiegli jak szatani, ale na ten raz opuściła ich przebiegłość: złożyli broń ognistą trochę za daleko od siebie. Gdyby Unkas i jego ojciec mieli rozum, a wzięli strzelby jak ja, trzema kulami powitalibyśmy tych łotrów, a wtedy i ten co uszedł, równy dział mógłby dostać. Ale kiedy taka wola Bozka, musi być tak lepiej.

— Słusznie mówisz, — odpowiedział Gamma, — przejęty jesteś prawdziwym duchem



chrześcijaństwa. Kto ma być zbawiony, ten zbawiony, a kto potępiony, ten potępiony będzie. Jest to dla pobożnego chrześcijanina bardzo pocieszająca prawda.

Strzelec zajęty opatrywaniem wszystkich sztuk swojej rusznicy, tak troskliwie, jak gdyby to ojciec oglądał członki dziecka po niebezpiecznym szwanku, podniósł oczy na psalmistę z wyraźnym nieukontentowaniem i nie pozwolił mu kończyć.

— Prawda, czy nie prawda, — rzecze, — jednak poczciwy człowiek powinien myśleć inaczej. Mogę ja wierzyć, że ten Huron z mojej ręki miał zginąć, bo sam go ubiłem. Ale że on otrzyma nagrodę w niebie, równie jak że Szyngaszguk, co stoi tutaj, w dzień strasznego sądu potępiony zostanie, temu wtenczas chyba uwierzę, kiedy sam będę tego świadkiem.

— Nauka twoja, równie jak jest zuchwała, tak też na niczem się nie opiera, niczem jej ustalić nie możesz, — zawołał Dawid

napojony temi subtelnosciami rozróznień metafizycznych, co w owym czasie, a mianowicie w jego prowincyi ojczystej, émiły świetną prostotę religii objawionej; — kościół twój zbudowałeś na piasku i lada wichur wzruszy go z posady. Pytam, czém możesz wesprzeć tak nielitościwe zdanie? Powiedz mi gdzie jest podobny text pisma świętego: zacytuj wiersz, rozdział i księgę.

—Księgę!—powtórzył Sokole Oko tonem najdumniejszej wzgardy.— Cóż to, uważasz mnie za żaka przyczepionego do fartucha którejś tam babulki waszej? Czy ta prawdziwa rusznica, co leży na mych kolanach wydała ci się piórem gęsim? Czy sądzisz że ten rożek jest z atramentem, nie z prochem, a w tej torbie noszę dla siebie obiad do szkoły? Księgę! i na cóż te księgi człowiekowi, co jest wojownikiem pustyni, chociaż ma krew czystą? Jedną ja znam tylko księgę: jej słowa tak jasne i proste, iż lubo pochłubić się mogę, że czterdzieści lat

czytam ją ciągle, nigdy jeszcze nie potrzebowałem ni tłumaczeń ni wykładów.

— Jakiż jej tytuł? — zapytał psalmista, biorąc w prostém znaczeniu przenośne słowa Sokolego Oka.

— Masz ją otwartą przed twojemi oczyma, — odpowiedział strzelec; — właściciel jej niezazdrośny: wszystkim pozwala czytać. Słyszałem że są tacy którym książę potrzeba, żeby się przekonali o bytności Boga. Może w osadach ludzie tak potwornie przekształcili jego dzieła, że co jest jasnym i widocznym na pustyni, stało się wątpliwym śród kupców i księży. Ale jeżeli jest choć jeden niedowiarek taki, niech tylko od wschodu do zachodu słońca pochodzi ze mną po tych lasach, przekonam go, że głupi, a jego głupstwo największe, że chce stanąć na równi z istotą, której dobroci i władzy nigdy nawet wyrachować nie zdoła.

Skoro Dawid postrzegł, że jego przeciw-

nik opiera się tylko na zdrowym rozsądku i pogardza subtelnościami metafizyki, nie widząc dla siebie ani zaszczytu ani korzyści z takiej dysputy, zaniechawszy jej wprzód, nim strzelec przestał mówić, usiadł spokojnie, dobył swoje kantyczki, włożył okulary w żelazo oprawne, i gotował się wypełnić powinność, której nie odwlekałby tak długo, gdyby jego prawowierny sposób myślenia nie odebrał nagłego ciosu.

Dawid Gamma był istnym minstrelem, lecz nowego świata, daleko nowszej daty, od owych wieszczów natchnionych, co niegdyś w starym świecie głosili sławę baronów i książąt. Jako bard zatem prawdziwie stosowny do ducha swojego czasu i kraju, miał teraz opiewać albo raczej błogosławić świeżo odniesione zwycięstwo, i zaczekawszy cierpliwie póki strzelec nie skończył mówić, odezwał się podnosząc głos i oczy:

— Wzywam was bracia, żebyście przy-

kładnie wysłuchali śpiewu na cześć nieba za wybawienie nas z rąk barbarzyńców niewiernych.

To rzekłszy, powiedział tytuł hymnu i liczbę stronicy, jak gdyby słuchacze w podobnych książkach mieli go szukać, i przegrawszy swoim zwyczajem na instrumencie dla dobrania tonu, zaczął śpiewać tak poważnie, jak gdyby siedział w ławkach kościelnych; a chociaż tą razą żaden głos nie towarzyszył jemu, bo obie siostry były zajęte sobą, nie zrażając się tą obojętnością pozorną kończył bez przerwy.

Strzelec opatrując swą rusznicę słuchał go pilnie; lecz śpiew Dawida nie robił teraz na nim takiego wrażenia, jak w jaskini. Słowem, nigdy minstrel nie popisывał się, ze swoim talentem przed mniej czułym zebraniem; lubo zważając na jego pobożność i świątobliwy zapał, godzi się mniemać, że nigdy śpiew barda nie wzniósł się tak blisko najwyższego tronu. Sokole Oko po-



wstał nakoniec, skinął głową i mruczając coś pod nosem, z czego dwa słowa tylko — Irokańczyk i gardło — zrozumieć można było, poszedł obejrzeć zbrojownię Huronów. Prócz strzelb Szyngaszguka i Unkasa, znaleziono tu jeszcze w co uzbroić Hejwarda i Dawida nawet; a nadto taki podstatek kul i prochu, iż nie można było lękać się, aby broń stała się nieużyteczną.

Kiedy strzelec z Szyngaszgukiem wybrali co im było potrzebne i opatrzyli towarzyszków, pierwszy z nich zapowiedział że czas ruszać w drogę. Spiew Dawida już się zakończył, a obie siostry zaczynały być pannami swych uczuć. Hejward i Unkas sprowadzili je z góry, na którą przed kilku godzinami wszedłszy śladem przewodników daleko innych nie spodziewały się zejść z niej nigdy. Chociaż konie wypoczęły i napasły się dosyć, na to jednak tylko były potrzebne kobietom, żeby brod suchą nogą przebydź mogły, ledwo bowiem, idąc za

nowym przewodnikiem, co w tak okropnych razach tyle gorliwości i przywiązania okazał dla nich, ujechały ćwierć mili, Sokole Oko porzuciwszy ścieżkę, którą Huronowie wiedli swe ofiary, wziął się na prawo, przebrnął niewielki strumyk i zatrzymał się na małej dolinie ocienionej kilku wiązami.

Indyanie i strzelec znali zapewne to miejsce, bo zaraz postawiwszy strzelby przy drzewach, zaczęli odmiatać suche liście z pod trzech wierzb płaczących, a kiedy nożami otworzyli ziemię wytrysnęło źródło przezroczystej wody. Sokole Oko natenczas rzucił spojrzenie w stronę i jakby nie znajdując czegoś oglądał się na około.

— Już to nie inaczej,—rzecze,—te łotry Mohawki, albo ich bracia Tuskarory czy Onondagi, przychodzili pić tutaj i zabrali czerpach z sobą. Otóż rób dobrze tym psóm szkodliwym. Bóg wyciągnął rękę na tę pustynię i z wnętrzości ziemi dobył dla ich użytku źródło tak ożywiającej wody, iż za

nie przy niej wszystkie apteki; a ci bul-  
taje zatkali je darniem, i pątrz ich, bestye!  
nie jak ludzie, ale jak bydło udeptali ziemię!

Kiedy strzelec tak złorzeczył, Unkas nie  
nie mówiąc podał mu czerpach znalezionej  
pod gałęźmi wierzby, gdzie go niecierpli-  
wy towarzysz nie dostrzegł. Sokole Oko  
zaczepnął wody, i z wielkiem upodoba-  
niem wychyliwszy do dna, zaczął skwapli-  
wie wydobywać z torby resztki żywności  
po Huronach zabranej.

— Dziękuję, — rzecze oddając Unkasowi  
wypróznione naczynie. — Obaczemyż teraz  
jak te włóczęgi żyją w drodze. Widzisz  
ich! znają się łotry na lepszych sztukach je-  
lonka; mógłby kto powiedzieć że umieją na-  
wet jak najdoskonalszy kucharz rozebrać i  
upiec zwierzynę, a przecież wszystko suro-  
we: Irokanin zawsze jest prawdziwym dzi-  
kim. Unkas, weź moje krzesiwko i roz-  
nieć ogień; zraz pieczystego nie zaszkodzi  
po tylu poniesionych dziś trudach.

Hejward widząc, że przewodnik nie żartem zabierał się do popasu, radził towarzyszkom poziadać z koni i umieścić się w cieniu na trawie, a kiedy przygotowania kuchenne szły swoim porządkiem, zbliżył się do strzelca, chcąc zaspokoić ciekawość, jakim szczęśliwym trafem trzej przyjaciele tak w porę przybyli na ratunek.

— Jak się to stało, mój zacny przyjacielu, — rzecze, — żeśmy się znowu zobaczyli tak prędko, i że nie przyprowadziliście pomocy z twierdzy Edwarda ?

— Gdybyśmy przepłynęli zakręt rzeki, przyszlibyśmy w porę na pokrycie liśćmi ciał waszych, ale zapóźno na ocalenie włosów. Zamiast więc cośmy mieli daremnie tracić czas i siły biegnąc do twierdzy, woleliśmy zrobić zasadzkę nad brzegiem i śledzić kroki Huronów.

— Widzieliście zatem wszystko co się działo ?

— Bynajmniej. Indyanie nie takie mają oczy, żeby ujść ich wzroku; musieliśmy kryć się jak najstaranniej. Ale największa bieda była utrzymać w spokojności tego młodzika. Oj! Unkas, postąpiłeś tym razem, jak ciekawa kobieta, a nie jak wojownik twojego narodu.

Przenikliwe oczy Unkasa zwróciły się na strzelca, lecz ani odpowiedział, ani okazał najmniejszego upokorzenia; owszem, jak Hejwardowi zdało się przynajmniej, twarz młodego Mohikana malowała dumę i wzgardę. Jeżeli zaś milczał na ten zarzut, to zapewne albo przez poszanowanie dla osób obecnych, albo przez zwykłą uległość dla towarzysza białego.

— Ale postrzeegliście że nas odkryto? — dodał major.

— Posłyszeliśmy, — odpowiedział z przyciskiem Sokole Oko; — wycie dzikich jest mową dosyć zrozumiałą dla tych, co pędzą życie w lasach. Lecz kiedyście państwo



wysiadali z łódki, natenczas musieliśmy jak węże cisnąć się pod krzaki żeby nas nie postrzeżono, i odtąd nie ujrzeliśmy już was aż tam przy tych drzewach, gdzie uwiązani mieliście po indyjsku zginąć.

— To sama Opatrzność ocalić nas raczyła, — rzecze Hejward; — cud prawie, że nie inną poszłiście drogą; bo Huronowie rozdzielili się na dwie gromady, i tak jedni jak drudzy wzięli po parę koni.

— Ale, ale! — zawołał strzelec, jakby przypominając wielki kłopot; — z tej przyczyny tylko cośmy nie stracili tropu; jednak domyślając się, i jak się okazało słusznie, że ci zbójcy nie poprowadzą jeńców na północ, wzięliśmy się w tę stronę. Lecz kiedy uszedłszy mil kilka, nie znalazłem żadnej gałązki złamanej, o co odchodząc prosiłem, zacząłem już wątpić nie żartem, tém bardziej, że wszystkie ślady jakie postrzedz mogłem były od mokassinów.

— Huronowie mieli ostrożność, obuć nas

po swojemu, — rzecze Dulkan podnosząc nogę i pokazując indyjskie obuwie.

— Jestto koncept prawdziwie dzikich; ale my nie tak mało mamy doświadczenia, żeby podobny wybieg mógł nam zamydlić oczy.

— Czemuż więc dziękować winniśmy, żeście nie zmienili drogi?

— Temu, co człowiek biały ani jednej kropelki krwi indyjskiej nie mający w żyłach, ze wstydem wyznać musi: zdaniu młodego Mohikana o takiej rzeczy, na którejby mnie daleko lepiej znać się należało, a której i teraz zaledwo jeszcze wiarę dać mogę, chociaż na własne przekonałem się oczy.

— Cóż dziwnego! Cóż to było przecie?

— Oto Unkas śmiał nam dowodzić, — rzecze strzelec z ciekawością i podziwieniem rzucając wzrok na konie stojące niedaleko; — że wierzchowce tych pań, stawiają nogi nie na przemian, lecz po dwie razem z jednej

strony, co jest rzeczą przeciwną chodowi wszystkich zwierząt czworonożnych jakie znałem dotąd, prócz niedźwiedzia. Przekonałem się jednak na własne oczy, że ta para koni chodzi w ten sposób, jak pokazywały nam ślady, których trzymaliśmy się przez dobrych mil dwadzieścia.

— Jestto szczególna ich zaleta i dla tego sprowadzono je aż z nad zatoki Narragansetu, z małej prowincyi osad Opatrzności. Są one bardzo wytrwałe i niezmiernie lekko noszą; chociaż można i inne konie nauczyć takiego chodu.

— Bydź to może, — rzecze strzelec wysłuchawszy tego objaśnienia z uwagą osobliwszą; — nic to niepodobnego; bo ja, chociaż ani kropli krwi zmieszanej nie mam, lepiej jednak znam się na danielach i bobrach, niż na bydłtach domowych. Major Effingham ma wyborne konie; ale żaden z nich nie chodzi tak szczególnym krokiem.

— Zapewne, — odpowiedział Dulkan, —

bo on innych przymiotów w koniach szuka. Te wszakże nie mniej są z gatunku szacownego, i najczęściej mają zaszczyt służyć takim jeźdźcom, — dodał wskazując na kobiety.

Mohikanie porzuciwszy na chwilę swoje czynność kucharską słuchali tej rozmowy, a kiedy major przestał mówić, spojrzeli jeden na drugiego wyrażając podziwienie. Z ust Szyngaszguka wymknął się zwyczajny jego wykrzyknik; strzelec przez minutę prawie był zamyślony, jak ten co szykuje w głowie nowo nabyte wiadomości, a potem rzuciwszy jeszcze raz na konie ciekawe spojrzenie, dodał: — Mnie się zdaje, że daleko dziwniejsze rzeczy można zobaczyć w naszych osadach europejskich, bo człowiek niemiłosiernie przekręca przyrodzenie, kiedy mu się uda wziąć górę nad niem. Ale mniejsza o to jaki jest chód tych koni, zwyczajny czy uczony, prosty czy krzywy; dosyć że Unkas go zauważał i śladem ich przyszliliśmy do krzaku, u spodu którego były

znaki kopyt, a w górze jedna gałązka złamana tak wysoko, że chyba człowiek na koniu mógł jej dosięgnąć, kiedy tymczasem niższe pokruszone i potarte zapewne przez pieszego, dały nam do zrozumienia, iż jeden z tych chytrych łotrów chcąc zatrzeć ślad uczyniony przez którąkolwiek z swych branek, pogniotł i porozchyłał gałęzie, jak gdyby dzikie zwierze przeciskało się tędy.

— Nie omyliła was przezorność; to wszystko właśnie tak było.

— Nie potrzeba na to przezorności szczególniejszej; łatwiej to poznać niż chód konia zauważać. Przyszło mi wtenczas na myśl, że Mingowie udadzą się do tego źródła, bo ci zbójcy znają dobrze własność tej wody.

— Czy więc to źródło tak jest głośne?—zapytał Hejward z większą uwagą przypatrując się samotnej dolinie i źródłu otoczone-mu ziemią brunatną.

— Mało jest czerwonych, którzyby w po-



dróży na południe lub wschód jezior wielkich, nie słyszeli o zaletach tej wody. Może pan chcesz jej skosztować?

Hejward przyjął podany czerpach, lecz zaledwo wziął do ust kilka kropel wody, oddał go marszcząc się z niesmakiem. Strzelec uśmiechnął się i z miną zadowolenia poruszał głową.

— Jak widzę nie przypadła panu do smaku, — rzecze. — I ja dawniej brzydziłem się nią podobnież; ale teraz piję z upodobaniem i niekiedy z takim upragnieniem śpieszę do tego źródła, jak daniel do rzeki. Najlepsze wina pewno nie tyle smakują państwu, co ta woda dzikiemu, zwłaszcza jeżeli czuje się zwątlonym na siłach, ponieważ jest wzmacniająca. Ale już Unkas upiekł pieczenie: trzeba się posilić trochę, bo jeszcze daleką drogę mamy przed sobą.

Zakończywszy rozmowę tak nagle przejściem, Sokole Oko zabrał się korzystać z resztek jelonka pozostałych od żarłoczności

Huronów. Jedzenie równie podano jak przygotowano po prostu. Strzelec i Mohikanie nasycali się cicho i śpiesznie, jak zazwyczaj ludzie, którzy myślą tylko o tem, żeby pokrzepić siły do nowych prac i trudów.

Uczyniwszy zadość potrzebie, wszyscy trzej napili się wody lekarskiej z tego źródła, nad które teraz od pięciudziesiąt lat z całej północy Ameryki, piękność, bogactwa i talenta, zbierają się szukać przyjemności i zdrowia.

Sokole Oko zapowiedział potem, że już czas ruszać w drogę. Obie siostry siadły na koń; Dulkan i Dawid wzięli strzelby i szli obok nich albo za nimi, podług tego jak szerokość przejścia pozwalała; strzelec przewodniczył gromadzie, a Mohikanie tylną straż składali. Tym porządkiem śpiesznie dążyli ku północy, zostawiwszy wodom źródła wolny bieg do bliskiego strumyka, a ciała Huronów niepogrzebione na górze, co tak często spotykało wojowników leśnych, iż ani do litości, ani do żadnych uwag nie mogło, być powodem.

R O Z D Z I A Ł III.  

---

„Lżejszą ja znajdę drogę.“

*Parnel.*

**P**ODRÓŻNI za przewodnictwem Sokolego Oka, przebywali pod wieczor w kierunku ukośnym też same piaszczyste płaszczyzny pokryte lasem i gdzie nie gdzie urozmaicone wzgórkami lub dolinami, kędy rano Magua prowadził ich jako niewolników swoich. Słońce zniżyło się ku ziemi, upał przestał doskwierać i gdy pod sklepieniem drzew leśnych powietrze znacznie ochłodziło, mogąc pośpieszać w podróży, nie mało mil uszli do zmroku.

Podobnie jak pierwsi dziki, tak teraz strzelec przodkując w drodze, pilnował się tajemnych

znaków władomych jemu tylko; szedł ciągle jednostajnym krokiem i nigdy nie zatrzymywał się dla namysłu. Dosyć mu było w szybkim przechodzie rzucić wzrok na pień mchem porośły, podnieść oczy na słońce zbliżone do poziomu, lub spojrzeć na bieg strumienia, żeby się zapewnić, iż nie błądził. Tymczasem żywa zieloność lasów w miarę ubywającego światła, zmieniała się nieznacznie w czarność posępną.

Kiedy dwie siostry starały się jeszcze przez gęste drzew gałęzie dojrzeć choć jeden promyk słońca, które nad zachodnimi górami tonęło w gruby obłok, ukraszony najżywszą barwą purpury i złota, strzelec zatrzymał się nagle i obrócił się do idących za nim.

— O to, — rzecze wskazując ręką na zachód, — znak od przyrodzenia człowiekowi dany, kiedy powinien posiłku i spoczynku szukać. Mądrzejby on robił, gdyby zawsze go słuchał, naśladowując w tem ptaki i

zwierzęta leśne. Nadto, noc wkrótce zakończy się dla nas, bo jak tylko księżyc wznijdzie, ruszymy w drogę. Przypominam sobie, że podczas pierwszej wojny, w której zacząłem rozlewać krew ludzką, właśnie tu gdzieś w tym miejscu biliśmy się z Makwami i na obronę włośów naszych zbudowaliśmy sobie drewnianą twierdzę niby. Jeżeli mię pamięć nie myli, znajdziemy ją niedaleko stąd po lewej ręce.

Nie czekając odpowiedzi nagle zwrócił się na lewo i wszedłszy w gęste zarośle młodych kasztanów, rozchyłał u spodu gałęzie, jak gdyby tuż spodziewał się znaleźć to czego szukał. Nie zawiodła go pamięć, gdyż po dwiestu lub trzystu krokach trudnej przeprawy przez ciernie i krzaki, wyprowadził podróżnych na wolny przestwór, gdzie wśród zielonego wzgórka sterczał zrab od wielu lat opuszczonej budowy.

Budowa ta, będąc jednym z tych prostych zasieków, imieniem twierdz zaszczyconych,



które jak prędko budowano w razie potrzeby, tak też prędko zapominano o nich potem, niszczała w głębi odludnego lasu, prawie nienawiedzana nigdy. Szerokie pasmo pustyni, dzielące niegdyś prowincye nieprzyjazne, obfituje w podobne pomniki krwawego przechodu ludzi. Zwaliska te równie posępne jak wszystko co je otacza, są dziś zabytkami dla historyi Osad. Zrobiony z kory dach tego budynku skruszył się już od dawna i spróchniałe jego szczątki pomięszały się z ziemią, lecz ściany wiązane z nieoczesanych kłód sosnowych trzymały się jeszcze na miejscu, chociaż pochyłość jednego węgła zapowiadała że wkrótce i te upadną.

Kiedy Hejward i jego towarzyszki z obawą zbliżali się do tak nadwątlonej budowy, Sokole Oko i oba Indianie bez najmniejszej bojaźni weszli wewnątrz. Strzelec ciekawie oglądał wszystkie jej części i zdawało się, że co raz żywiej przypominał

coś sobie, a Szyngaszug rodowitym językiem opowiadał synowi pokrótce bitwę, którą będąc jeszcze młodym toczył w tem ustroniu. Jakiś smutek i razem tryumf wydawał się w jego głosie.

Tymczasem siostry posiadały z koni, z radością zabierały się wypocząć kilka godzin w chłodzie wieczornym i w miejscu, gdzie prócz zwierząt leśnych nie lękały się nikogo.

—Mój waleczny przyjacielu,— rzecze major do strzelca, skoro ten wyszedł z pomiędzy rozwalin,— czy nie lepiej żebyśmy obrali inne, mniej znajome, mniej uczęszczane miejsce?

— Nie łatwo pan dzisiaj znajdziesz człowieka, coby wiedział że ta twierdza jest, lub kiedykolwiek była tutaj, — odpowiedział Sokole Oko powolnym i smutnym głosem. — Nie zawsze to pisano książki o podobnych utarczkach, jaka tu niegdyś zaszła między Mohikanami a Mohawkami, podczas wojny

tyczącej się tylko ich samych. Bardzo jeszcze młody byłem natenczas i chwyciłem się strony Mohikanów, bo wiedziałem że to pokolenie ciemiężono niestusznie. Ja sam, człowiek prawdziwie biały, jak pan dobrze wiesz o tém, podałem projekt tej budowy i razem z Mohikanami własnymi rękoma ją stawiałem. Czterdzieści dni i noocy krążyli koło niej zbójcy krwi naszej cheiwi; w dziesięciu broniliśmy się przeciwko dwudziestu, aż póki liczba stron obunie zrównała się prawie. Wtedy dopiero, zrobiliśmy wycieczkę i ani jeden z tych psów nie powrócił do swojego narodu, żeby oznajmić co jego towarzyszków spotkało. Oh! byłem jeszcze młody, widok krwi ludzkiej był dla mnie rzeczą zupełnie nową; nie mogłem sobie przypuścić do głowy, żeby istoty, równie jak ja żyjące przed chwilą, miały pozostać na pastwę dla zwierząt drapieżnych. Pozbierałem więc ciała pobitych i zagrzebałem je własnymi rękoma. Stąd-

to ten mały wzgórek, na którym nasze panie dosyć wygodnie siedzą, chociaż jego podstawą są kości Mohawków.

Na te słowa obie siostry zerwały się nagle, pomimo świeżo widziane i tylko co nie doświadczone okropności nie mogąc słyszeć bez wstrętu, że siedziały na mogile hordy dzikich. Prawdę rzekłszy, słabe światło zmroku ciemniejącego nieznacznie, głucha cisza rozległych lasów, szczupły przestwór ich stanowiska, opasany czarną ścianą gęstych i wyniosłych sosen; to wszystko przyczyniało się bardzo do wzmocnienia przerażających wrażeń.

— Już ich nie masz; nie lękajcie się panie, — rzecze strzelec z melancholicznym uśmiechem poglądając na przestrach kobiet. — Nie wydadzą oni teraz okrzyku wojny, ani tomahawku nie podniosą, a ze wszystkich co się przyczynili do umieszczenia ich tutaj, ja i Szyngaszguk żyjemy tylko. Dalsi towarzysze nasi byli to jego bracia i kre-

wni; dziś, całe pokolenie jego widzicie przed sobą.

Alina i Kora mimowolnie rzuciły spojrzenie politowania na Indyan stojących niedaleko. Ojciec poważnie opowiadał wielkie dzieła wojowników swojego rodu, a syn nauczony czcić męztwo i dzikie ich cnoty, słuchał z najżywszą uwagą.

— Ja sądziłem, że Delawarowie byli narodem spokojnym, — rzecze major: — że nie wojowali z nikim i obronę swych granic powierzali tymże samym Mohawkóm, przeciw którym sam tutaj walczyłeś z nimi.

— To po części prawda, — odpowiedział Sokole Oko; — ale w gruncie fałsz piekielny. Był podobny traktat, wiele lat temu; bo Holendrzy wszelkich używali podstępów żeby rozbroić krajowców, mających najpierwsze prawo do ziemi zagrabionej przez nich, lecz część tego narodu, Mohikanie, mając natenczas do czynienia z Anglikami, nie należeli do tych układów, i własnej waleczno-



ści powierzyli się tylko, co też i Delawarowie uczynili potem, kiedy otworzono im oczy. Masz pan przed sobą głowę wielkich Sagamorów mohikańskich. Przodkowie jego polując na daniele po rozleglejszym kraju niż Albany Palterun, nie spotykali jednego strumyka, jednego pagórka, coby nie należał do nich; a dziś . . . . . cóż posiada ostatni potomek tego rodu? Trzy łokcie ziemi, gdzie mu Bóg wyznaczyć raczy, gdzie będzie leżał spokojnie, jeżeli znajdzie się przyjaciel coby go zakopał tak głęboko, żeby pług nie dosięgnął jego kości.

— Chociaż mówimy o rzeczach bardzo ciekawych, trzeba jednak podobno przerwać naszą rozmowę, — rzecze major, lękając się aby przedmiot na który wpadł strzelec, nie dał przypadkiem powodu do sporów szkodliwych dobrej harmonii, kiedy właśnie najmocniej o nią starać się należało; — uszliśmy dziś wiele mil drogi, a rzadko kto z ludzi naszego koloru, może tyle co ty

przyjacielu, wytrzymywać niebezpieczeństw i trudów.

— Jednakże to ciało i te kości co znoszą to wszystko, ożywia krew człowieka białego prawdziwie, — odpowiedział strzelec poglądając na swoje silne i żyłaste członki z zadowoleniem pokazującym, że nie obojętnie przyjął pochlebne słowa Hejwarda. — Można znaleźć w osadach ludzi ogromniejszych ode mnie; ale długobys pan musiał chodzić po mieście, nimbyś spotkał takiego, coby bez wytchnienia mógł ujść mil pięćdziesiąt, albo na polowaniu kilka godzin tuż za psami biegać. Ponieważ jednak nie wszystkie ciała podobne, bardzo bydlę może że te panie po tem, co się im przytrafiło dzisiaj, potrzebują wypoczynku. Unkas, odgarnij te liście; powinno tu bydlę źródło, a ja tymczasem z twoim ojcem zrobię dla nich dach z kasztanowych gałęzi i naściele suchych liści.

To rzekłszy, strzelec zajął się ze swoimi

przyjaciółmi przygotowaniem dla podróżnych wygodnego noclegu, ile miejsce i okoliczności pozwalały. Zródło, co niegdyś skłoniło Mohikanów do czasowego obwarowania się w tej dolinie, od wielu lat zatkane, wytoczyło teraz strumyk czystej wody. Jeden kąt budowy został osłoniiony gęstymi gałęzmi od rosy, zawsze w tamecznym klimacie obfitej; posłanie z suchych liści urządzone pod niemi; a co z resztek jelonka, upieczonych przez młodego Mohikana, pozostało od popasu, podano na wieczerzę.

Kora i Alina zjadłszy trochę, bardziej z potrzeby niż z chęci, weszły do starego budynku, gdzie złożywszy Bogu dzięki za doświadczoną, a prośby o dalszą opiekę, układły się na przygotowanej pościeli i mimo przykre wrażenia całodziennych przypadków, mimo strach, jakiego odegnąć zupełnie nie mogły, podały się przemożnej snu władzy.

Duncan postanowił sobie przepędzić noc na straży u drzwi zwaliska zaszczyconego imieniem starej warowni, lecz strzelec postrzegłszy jego zamiar, rzekł wyciągając się spokojnie na trawie i ukazując mu Szyn-gaszguka:— Oczy człowieka białego są za ciężkie, za tępe do czatowania w podobnym razie. Mohikan będzie nas pilnował; myślmy tylko o spaniu.

— Zasnąłem wczoraj na mojem stanowisku, — rzecze Hejward, — i dla tego mniej potrzebuję snu niżeli wy, coście lepiej wypełnili powinność żołnierską. Wszyscy trzej zatem wypocznijcie teraz, a ja będę stał na pikiecie.

— Nie żądałbym lepszej pikiety, gdybyśmy byli przed białemi namiotami 66go półku i w obec takich nieprzyjaciół, jak Francuzi; ale wśród ciemności i na pustyni, nie więcej sądzić możesz od dziecka i czujność pańska na nic się nie przyda. Proszę

więc uczynić jak ja i Unkas : spać, i spać bez najmniejszej obawy.

Hejward postrzegł iż w samej rzeczy młody Indyanin leżąc pod wzgórkim na trawie, korzystał z chwil wypoczynku, jak ten co ich ma nie wiele. Dawid poszedł za jego przykładem i muzyka mniej przyjemna od śpiewu psalmów, zapowiadała że potrzeba snu po długiej i śpiesznej podróży pieszo, mocniejsza była nad boleść jego rany. Nie chcąc napróżno sprzeczać się dłużej, major niby usłuchał rady strzelca i usiadłszy przy starej twierdzy, oparł się plecami o ścianę, w mocnym postanowieniu jednak, ani zmrużyć oka póki nie odda Munrowi drogiego przedmiotu swych starań. Strzelec sądząc że Dunkan umieścił się do spania, zasnął wkrótce i znowu głucha cichość pustyni powróciła w to ustronie.

Przez niejakiś czas udawało się Hejwardowi mieć otwarte oczy i uszy czujne na najmniejszy szelest. Kiedy przyświecały mu



gwiazdy, rozróżniał jeszcze dwóch towarzys-  
szów rozciągniętych na ziemi i Szyngasz-  
guka stojącego pod lasem tak bez ruchu,  
jak drzewo o które był oparty; lecz w mia-  
rę przybywających cieniów nocy, wzrok  
jego zaczął ćmić się co raz bardziej. Wkrót-  
ce spadły ociężałe powieki i zdawało mu  
się że przez lekką zasłonę patrzy na gwiaz-  
dy. W tym stanie jednak, słyszał łagodny  
oddech towarzyszek śpiących o kilka kro-  
ków za nim, szmer liści poruszanych od  
wiatru i żałobny krzyk sowy. Niekiedy  
gwałtem otworzywszy oczy, wlepiął je  
w krzak niedaleki i po chwili znowu mi-  
mowolnie zamykał, sądząc że widział swo-  
jego towarzysza bezsenności. Nakoniec gło-  
wa jego skłoniła się na ramię, ramię oparło  
się o ziemię, słowem zasnął smaczno i śnił  
że jest rycerzem błędnym, że stoi na stra-  
ży przy namiocie księżniczki wybawionej  
przez się, że pewno pozyska jej łaskawe  
względy za taką gorliwość i czujność.

Jak długo zostawał w tych słodkich marzeniach, tego i sam nie mógł powiedzieć nigdy, to pewna tylko, że spał bardzo spokojnie, i kto wie kiedyby się obudził, gdyby nie poczuł dotknięcia obcej ręki. Przestraszony tym hasłem, w oka mgnieniu stanął na nogach, zaledwo niewyraźnie pamiętając o tém, co postanawiał z wieczora.

— Kto tu? — zawołał chwytając się do szpady; — przyjaciel, czy nie?

— Przyjaciel, — odpowiedział Szyngaszguk pocichu i ukazując mu palcem promień króla nocy świecący ukośnie przez drzewa, dodał złą angielszczyznę: — Księżyc już przyszedł; twierdza człowieka białego jeszcze daleko, bardzo daleko. Trzeba iść póki sen zamyka oboje oczu Francuza.

— Słusznie mówisz, — rzecze major, — obudź twoich przyjaciół i posiadaj konie, a ja tymczasem powiem kobietóm, żeby się przygotowały do podróży.

Już my nie śpiemy, Dunkanie, — odezwał

się za ścianą słodki głos Aliny, — wypoczęłyśmy dosyć i jesteśmy gotowe jechać; ale sam, jestem pewna, że całą noc czuwałeś nad nami, jeszcze po dniu tak okropnym!

— Powiedz raczej Alino że chciałem czuwać, ale zdradziły mię nieposłuszne me oczy, — odpowiedział Hejward. — Już drugi raz pokazałem, że jestem niegodzien opiekować się wami.

— Nie zapieraj się Dunkanie, — rzecze Alina z uśmiechem, w całej świeżości wdzięków, ożywionych snem posilnym, wychodząc na blask księżyca, — ja wiem, że zapominasz się czasami kiedy chodzi o ciebie samego, ale o bezpieczeństwo innych zawsze jesteś troskliwy. Czy nie możemy zaczekać tu kilka godzin, żebyś wypoczął trochę, równie jak ci poczciwi ludzie. Kora i ja staniemy teraz na straży, i z przyjemnością najpilniej odbędziemy naszą kolej.

— Gdyby wstyd snu pozbawiał, całe życie nie zmrużyłbym oka, — odpowiedział

młody oficer, nie rad już trochę, i podejrzliwie spójrzał na Alinę czy nie chciała żartować z niego, lecz postrzegłszy w jej twarzy samą otwartość i szczerłość, dodał: — Nie dość że przez moją zbyt nieroztropną ufność naraziłem was na niebezpieczeństwa, ale nawet nie wypełniłem powinności żołnierza strzegąc was w nocy.

— Tylko sam Dunkan może Dunkanowi takie wymówki czynić,— rzecze Alina w stałym przekonaniu, że jej kochanek niczem się nie różnił od wzoru doskonałości, jaki sobie w młodej wyobraźni kreśliła; — posłuchaj mię zatem, idź, zaśnij trochę i bądź pewny, że ja i Kora wypełniemy powinność najczujniejszej straży.

Hejward zmieszany jeszcze bardziej, chciał tłumaczyć się na nowo; ale wtém Szyn-gaszguk dobitnym, chociaż ostróżnym, głosem dał hasło trwogi i wnet Unkas zerwawszy się nagle, przybrał postawę słuchającego z nateżeniem.

— Mohikanie postyszeli nieprzyjaciół, — rzecze strzelec stojący już w gotowości do drogi; — wiatr donosi im o jakimś niebezpieczeństwie.

— Niech Bóg strzeże! — zawołał major, — dosyć już i tak krwi rozlanej. — Mimo to jednak, gotów poświęceniem życia na obronę towarzyszek, zatrzeć swoją winę, wziął strzelbę i zbliżył się do lasu, a postyszawszy wkrótce szmer oddalony, szepnął strzelcowi na ucho: — To jakiś zwierz dra pieżny upędza się za zdobyczą.

— Cicho! — odpowiedział Sokole Oko, — to stąpanie ludzkie: poznaję już, nie mając nawet słuchu Indyan. Ten łotr Huron co nam uszedł, musiał spotkać którąkolwiek bandę dzikich przodkujących wojskom Montkalma, opowiedział wszystko i doszli nas tropem. Co do mnie, nie chciałbym drugi raz w tym miejscu rozlewać krwi ludzkiej, — dodał ozierając się niespokojnie, — ale jeżeli trzeba, to trzeba. Un-



kas, wprowadź konie do twierdzy, i państwo schronicie się w niej także. Jakkolwiek stary to łom, zawsze jednak siaka taka zasłona; te ściany oswojone z ogniem ręcznej broni.

Usłuchano go natychmiast. Mohikanie wprowadzili konie do budynku. Kobięty z Dawidem weszły za nimi i siedziały jak najciszej.

Tymczasem szelest zbliżył się znacznie i można już było niewątpliwie rozpoznać chód człowieka; a wkrótce dały się słyszeć głosy ludzi, zwołujących się po indyjsku. Strzelec przyłożywszy usta do ucha Hejwarda szepnął mu, że z języka poznaje Huronów. Kiedy przyszli na miejsce, gdzie konie weszły w gęste zarośle, widocznie zmieszali się nie znajdując dalszego śladu.

Jak się zdawało z liczby głosów, było ich ze dwudziestu, i wszyscy razem dawali zdanie w którą stronę wiać się należy.

— Łotry wiedzą że nas nie wielu, —  
Tom II.

rzecz strzelec, wyglądając spólnie z Hejwardem przez szparę, między pniami dwóch drzew zbliżonych; — inaczej czybyto rozprawiali oni napróżno jak skwawy? Słuchaj pan, ktoby pomyślił, że każdy z nich ma dwa języki a jedną tylko nogę.

Hejward zawsze odważny, a niekiedy nawet zuchwały do potyczek, w chwili dręczącej niespokojności nie mógł odpowiedzieć towarzyszowi ani słowa. Scisnął tylko strzelbę w rękę i zbliżył bardziej oko do szczeliny, jak gdyby śród nocy i gęstego lasu chciał równie widzieć jak słyszał Huronów.

W tém dzicy umilkli i jeden tylko, wódz zapewne, mówił jeszcze czas niejakiś poważnym i rozkazującym głosem. W kilka chwil potem szelest liści i trzask gałęzi oznajmił, że Huronowie na wszystkie strony rozeszli się szukać utraconego śladu. Szczęściem, blask księżyca, słabo oświecający dolinę, nie przenikał we wnątrz gęstej pu-

‘szczy, a szlak kędy podróżni przybyli do starej warowni był tak krótki, że dzicy go nie postrzegli, chociaż we dnie pewno jakikolwiek znak przejścia nieuszedłby ich wzroku.

Z tḗm wszystkiḗm, nim upłynęło parę minut, stępania kilku Huronów dały się słyszeć w zaroślach kasztanowych, ledwo odziesiątek kroków od brzegu.

— Już przychodzą, — rzecze Hejward cofając się w tył, żeby wysunąć koniec strzelby pomiędzy drzewa; — dajmy ognia do pierwszego co się pokaże.

— Nie rób tego; — odpowiedział Sokole Oko; — za pierwszym błyskiem z panewki cała zgraja, jak gromada zgłodniałych wilków, rzuciłaby się na nas. Jeżeli już tak Bóg przeznaczył, żebyśmy walczyli w obronie naszych włosów, spuść się pan na ludzi, którzy lepiej znają obróty dzikich i nie gotowi przed ładą krzykiem wojennym uchodzić z miejsca.

Duncan spojrział za siebie i postrzegł w najgłębszym końcu budowy dwie siostry przytulone jedna do drugiej, a po obu stronach drzwi, Mohikanów stojących w cieńcu ze strzelbami w ręku, lecz wyprężonych i nieruchomych jak słupy. Pohamowany swój zapał i postanowiwszy czekać hasła od tych, co lepiej znali się na tym sposobie toczenia bitew, schylił się do otworu, chcąc zobaczyć co się przed nim działo. Ogromny Huron uzbrojony w tomahawk i strzelbę, wyszedł z lasu i posunął się kilka kroków naprzód. Przy świetle księżyca można było widzieć na jego twarzy podziwienie i ciekawość, kiedy postrzegł budynek. W tejże chwili wydał głos, jakim Indianin zwykle pierwsze z tych uczuć wyraża, i wnet drugi Huron ukazał się przy nim.

Dwaj ci mieszkańcy lasów długo oglądali starą warownię, żwawo rozprawiając w języku swego pokolenia; a potem zaczęli zbliżać się do niej zwolna i zastanawiając

się co krok, jak przestraszone daniele, których jednak ciekawość prowadzi do przedmiotu ich trwogi. Jeden z nich zawadził nogę o wspomnianą już mogiłę i szybko schylił się ku ziemi, a natychmiast dobitne jego poruszenia dały poznać, iż się domyślał, co ten wzgórek ukrywał. W tej chwili Hejward postrzegłszy, że strzelec próbował czy nóż łatwo z pochew wychodzić może i czy krzemień u strzelby dosyć pewny, przygotował się również do nieuchronnej już bitwy.

Dzicy byli tak blisko, iż najmniejsze poruszenie któregokolwiek konia nie usłoby ich słuchu; lecz skoro ujrzeli i poznali mogiłę, zdawało się że ona tylko, całą zajmowała ich uwagę. Odtąd zaczęli rozmawiać cichym i uroczystym głosem, jak gdyby religijnem uszanowaniem lub jakąś niepojętą trwogą przejęci byli. Odeszli potem rzucając jeszcze bojaźliwe spojrzenia na zwaliska, skąd lękali się zapewne ujrzeć wy-



chodzące mary pogrzebionych tu nieboszczyków, i swoją drogą ostrożnie powrócili do lasu.

Sokole Oko opuścił rusznicę kolbą na ziemię i odetchnął mocno, jak gdyby przez ostrożność dech wstrzymując czuł wielką potrzebę świeżego powietrza.

— Tak, — rzecze — szanują oni umarłych i to im, a może i nam samym, ocaliło teraz życie.

Hejward nic nie odpowiedział na to: cała jego uwaga zajęta była Huronami, których chociaż nie widział, ale jeszcze słyszał niedaleko. W krótkce można było poznać, że się wszyscy zgromadzili i z powagą indyjską słuchali ich opowiadania. Po kilku minutach mniej gwarliwej niż pierwsza rozmowy, ruszyli z miejsca: tentent ich kroków oddalał się nieznacznie i nakoniec zniknął w głębi lasu.

Strzelec czekał jednak nim Szyngaszguk nie dał znaku że już są zupełnie bezpiecz-

ni, a potém rozkazał Unkasowi wyprowadzić konie i prosił majora, żeby zalecił pośpiech kobietóm. Wkrótce cała gromadka udała się w podróż i dwie siostry wjeżdżając do lasu przeciwległego zarośłom kasztanowym, rzuciły ostatnie spojrzenie na zwaliska warowni i grobowiec Mohawków.

---

## ROZDZIAŁ IV.

— „Kto idzie?”

— Chłopi, Francuzi niebodzy.“

*Szekspir:*

**P**ODRÓŻNI nasi czując potrzebę ostrożności, przebywali las w najgłębszem milczeniu. Strzelec przodkował im zawsze, lecz ponieważ lękając się spotkać Huronów, krążył przez nieznaną część puszczy, chód jego nie był ani tak swobodny, ani tak prędki jak wczoraj. Zatrzymywał się nawet często i zasięgał rady Mohikanów, ukazując im położenie księżyca i gwiazd niektórych, lub z szczególniejszą uwagą oglądając korę i mech na drzewach.

[W krótkich tych przerwach podróży Hej-

ward i dwie siostry ciągle mając na myśli dzikich swych nieprzyjaciół słuchali z namiętnością, czy jakkolwiek szelest nie zapowiada ich przybycia; ale zdawało, się że ogromna przestrzeń lasów w wiecznej cisłości pogrążona była. Ptaków, zwierząt i ludzi, jeśli w tej pustyni znajdowali się jacy, równie głęboki sen ogarniał. Raz tylko wiatr przyniósł oddalony szmer strumyka, lecz tego było dosyć: przewodnicy nie wahając się dłużej zwrócili się w tę stronę.

Przybywszy nad brzeg rzeczki, Sokole Oko zatrzymał się znowu i po krótkiej naradzie z dwoma towarzyszami swemi, zalecił Hejwardowi i Gammie zdjąć obuwie, a sam podobnie jak Mohikanie zrzuciwszy mokkasiiny, wszedł do wody i kazał konie wprowadzić za sobą. Tak, dla zatarcia śladów, idąc więcej godziny korytem płytkiego strumyka, przebrnęli na drugą stronę, kiedy już się krył pod czarną chmurę, opasującą zachodni brzeg widokręgu. Lecz tu

znowu okolice były znajome strzelcowi ; bez zastanowienia i namysłu szedł równie prędko jak śmiało.

Droga, coraz bardziej nierówna, prowadziła między dwa pasma gór, tak zbliżające się z obu stron, że podróżni ujrzeli się na koniec w ciasnym wąwozie. Sokole Oko zatrzymał się tutaj i czekał póki nie nadciągnęła cała gromada, a potem rzekł ostróżnym i uroczystym głosem:

— Nic trudnego znać ścieżki i strumyki pustyni, ale kto wie, może i całe wojsko obozuje za temi górami.

— To więc niedaleko już do William Henryka? — zapytał major skwapliwie.

— Jeszcze mamy porządny kawał drogi; lecz najtrudniejsza rzecz zgadnąć, jak i kędy wnijsdź do twierdzy. Patrz pan, — dodał ukazując między drzewami gładką powierzchnię wody, w której odbijały się gwiazdy, — oto jest staw krwi. Nie tylko często prze-



chodziłem te strony; ale nie raz walczyłem tutaj od wschodu do zachodu słońca.

— Ach! to te wody, co są grobem poległych w sławnej bitwie. Zapominam jak się nazywają, ale słyszałem o nich.

— Trzy razy jednego dnia biliśmy się tutaj z Francuzami i Holendrami, — mówił dalej strzelec, jakby przypominając sobie, nie zaś opowiadając majorowi. — Nieprzyjaciel spotkał nas, kiedyśmy rozciągali zasadzkę na ich straż przednią. Pierzchaliśmy przez wąwozy, jak daniele rozpłoszone, aż nad brzeg Horykanu; lecz tam zebrawszy się za wałem z drzew pospuszczanych, uderzyliśmy na nieprzyjaciół pod dowództwem sir Williama, który właśnie też za to co dokazywał dnia tego, został sir Williamem, i wieczorem godnie powetowaliśmy nasz odwrót ranny. Kilka set Francuzów i Holendrów ostatni raz widziało słońce; ich naczelnik nawet, Dizo, dostał się nam tak pokryty ranami, że już nie zdatny potem

do służby, musiał powrócić do swojego kraju.

— Był to dzień pamiętny, — rzecze Hejward z zapalem ; — doszła jego sława aż do naszych wojsk południowych.

— Tak, ale nie koniec na tém. Major Effingham, z rozkazu samego sir Williama kazał mnie przejść po za skrzydło Francuzów i zanieść wiadomość o ich porażce do twierdzy położonej nad Hudsonem. Właśnie tam pod tą górą, widzisz pan na jej wierzchołku najwyższe drzewa, spotkałem oddział wojska idący nam w pomoc i zaprowadziłem na miejsce, gdzie nieprzyjaciel obiadował sobie tak swobodnie, jak gdyby już było po wszystkim.

— I zesłiście ich niespodziewanie ?

— Jeżeli śmierć powinna być rzeczą niespodziewaną dla tych, co tylko myślą o nalaadowaniu brzuchów. Cokolwiek bądź, nie daliśmy im przyjsz do przytomności, bo też i oni z rana nie dawali pardonu naszym, tak, że każdy z nas miał kogo opłakiwać, albo

przyjaciela, albo krewnego. Pó skończonej bitwie ciała martwych, lub nawet jak powiadano, i umierających jeszcze, zostały wrzucione do tego stawu, i woda zrobiła się taka czerwona, jakiej w żadnem źródle nie widziałem nigdy.

— Spokojna to mogiła dla żołnierzy. Nie mało więc dokazywałeś na tém pograniczu ?

— Ja ! — odpowiedział strzelec, podnosząc głowę z uczuciem chluby żołnierskiej; — nie masz pewno ani jednego echa w tych górach, coby nie powtarzało huku moich strzałów; nie masz jednej milikwadratowej między Horykanem a Hudsonem, na którejby z tej danielówki człowiek lub zwierz nie poległ. Ale co się tyczy spokojności tej mogiły, jak pan powiadasz, to rzecz inna. Niektórzy w naszym obozie utrzymują, że człowiek wtedy tylko spokojnie leży gdzie go pochowają, jeżeli już bez duszy w ciele pochowany został ; a, wówczas na gorącym

razie nie było czasu rozważać pilnie, kto żyw a kto zupełnie martwy. Cyt! Czy nie widzisz Pan, kto się tam przechadza nad brzegiem stawu?

— Nie spodziewam się żeby kto chciał używać przechadzki w tej pustyni, gdzie tylko nas konieczność zagnała.

— Takim istotom pustynia nic nie znaczy; i kto cały dzień pod wodą przebywa, ten niedba o rosę nocną, — rzecze Sokole Oko, tak silnie ściskając Hejwarda za ramię, iż ten przekonał się w istocie, że zabobonny strach opanował człowieka, nieustraszonego żadnem niebezpieczeństwem rzeczywistém.

— Dla Boga, jakiś człowiek! — zawołał major chwilą później, — postrzegł on nas i zbliża się tutaj! Opatrzcie broń przyjaciele, niewiadomo kogo to spotkaliśmy.

— Kto idzie? — odezwał się w tém nieznanym po francuzku, a głos jego mocny wśród ciszy i ciemności wydał się prawdziwie nie ludzkim.

— Co on mówi? — zapytał strzelec; — nie jest to ani angielski, ani indyjski język.

— Kto idzie? — powtórzyło się znowu i razem dał się słyszeć szczęk karabina poruszonego żwawo.

— Francuzi, — odpowiedział Hejward także po francuzku, gdyż równie łatwo mówił tym językiem jak swoim ojczystym. I wystąpiwszy z cieniu drzew zbliżył się do pikiety.

— Skąd i do kąd tak rano? — zapytał żołnierz.

— Odbywałem patrol i wracam do siebie.

— Mam więc przed sobą oficera Króla Jegomości?

— Nieinaczej, mój towarzyszu; albożś myślał że oficera wojsk angielskich? Jestem kapitan strzelców.

Hejward tak mówił, bo poznał z munduru że szyldwach był grenadyerem.

— Mam tu z sobą córki komendanta twierdzy William Henryka, które zabrałem



w niewolą ; czy nie słyzałeś o tém? Prowadzę je do jenerała.

— Dalibóg, żal mi was panie, — rzecze młody grenadyer, grzecznie i zgrabnie podnosząc rękę do czapki; — ale cóż robić; zdarzenie to wojenne. Proszę pocieszyć się jednak; jenerał nasz równie dla kobiet grzeczny, jak dla nieprzyjaciół straszny.

— Tacy są zwyczajnie rycerze francuzcy, — rzecze Kora, prędko zdobywając się na przytomność umysłu;— bądź zdrów przyjacielu; życzyłabym żebyś przyjemniejszą odbywał powinność.

Żołnierz ukłonem podziękował za uprzejmość; Hejward powiedział mu: Dobranoc, towarzyszu, i podróżni ruszyli dalej; a szylwach przechodząc się po nad brzegiem stawu, zapewne natchniony widokiem młodych piękności, zaczął nucić narodową piosukę: *Niech żyje wino, dziewczyna!* i t.d.

— To szczęście że pan mogłeś z nim rozmówić się po francuzku, — rzecze Sokole

Oko, kiedy się już oddalili znacznie, spuszczać kurek na pierwszy odwod i nie dbało zarzucając strzelbę na ramię. — Poznałem od razu że to musi być Francuz, i dobrze poradził sobie że zaczął z nami łagodnie, bo inaczej mógłby powiększyć towarzystwo swoich rodaków na dnie stawu. Ani wątpić, był to człowiek żywy; duch nie władałby karabinem tak silnie i zręcznie...

Przeciągły jęk wychodzący z nadstawu i tak żałobny, że przesądnemu człowiekowi mógłby wydać się głosem mary grobowej, przerwał słowa strzelca.

— Tak, był to człowiek żywy; ale czy żyje jeszcze, można wątpić o tem, — odpowiedział Hejward, widząc że Szyngaszguka nie było.

Kiedy to mówił, dał się słyszeć plusk, jakby ciężaru rzuconego do wody, a po nim znowu głęboka cichość nastąpiła. Wśród coraz bardziej przykrej niepewności, czy jechać dalej, czy czekać na nieobecnego to-

warzysza, ujrzano nakoniec Indyanina. Szedł on powoli trocząc szóstą zdobycz, włosy nieszczęśliwego grenadyera i uwiązując tomahawk do pasa; a potem włożywszy w pochwy nóż świeżą krwią zbroczony, zbliżył się do podróżnych i zajął zwyczajne swe stanowisko z zadowoleniem człowieka przekonanego, iż uczynił rzecz godną pochwały.

Strzelec opuścił rusznicę kołbą na ziemię, założył ręce na końcu rury i stanął zamyślony głęboko.

— Gdyby to biały uczynił, byłoby to okrócieństwo, — rzecze po chwili milczenia, smutnie wzruszając głową; — ale Indyanin . . . . taka natura jego i mnie się zdaje, że już tak bydz powinno. Wolałbym wszakże, żeby tego nieszczęścia doświadczył który z tych przeklętych Mingów, niż ten wesoły młodzik, co z tak daleka przyszedł tu na śmierć.

— Przestań mówić o tém; — odezwał

się Hejward, lękając się aby przykra wiadomość nie doszła uszu kobiet, i własne wzruszenie uciszając, prawie takimiż uwagami, jak strzelec. — Już się stało; nie masz co poradzić temu; — dodał. — Widzisz wyraźnie, że jesteśmy na linii rozstawionych pikiet nieprzyjacielskich; kędy udamy się teraz?

— Tak, — odpowiedział Sokole Oko zarzucając strzelbę na ramię, — już się stało, słusznie pan mówisz, nie masz co myśleć o tém. Ale doprawdy, Francuzi jak widzę nie żartem oblegli twierdzę; nie łatwo pomiędzy nich przemknąć się ciszką.

— I nie wiele już pozostaje nam czasu, — rzecze major, poglądając na obłok mgły rozciągający się szybko.

— Bardzo nie wiele, to pewno; jednak za pomocą opatrności możemy wywinąć się dwóma sposobami, o trzecim nie wiem.

— Jakiemiż to? zmiłuj się mów prędzej, czas drogi.

— Oto naprzód, możemy poprosić nasze panie, żeby szły piechoto, a puściwszy konie na wolą Bózką, zdać przewodnictwo Mohikanóm. Cały oboz uśpiony teraz; a jeżeli się kto przebudzi, potrafią oni za pomocą tomahawków lub nożów uśpić go na wieki, i choć po trupach wejdziemy do twierdzy.

— Niepodobna! niepodobna! — zawołał szlachetny Hejward; — godzi się czasami żołnierzowi torować drogę tym sposobem, ale nie idziemy teraz jako żołnierze.

— Prawda że delikatne nóżki pań naszych ślizgałyby się bardzo po ziemi od krwi rozmiękłej; lecz uważałem sobie za powinność podać ten projekt majorowi 60. pólku, chociaż i sam brzydziłem się nim nie mniej. Jedyny zatem pozostaje nam środek: cofnąć się z linii pikiet nieprzyjacielskich i wrócić na zachód między góry, gdzie tak was ukryję, że wszystkie goncze piekielne, co teraz wojskóm Montkalma przodkują, ani przez miesiąc tropu nie znajdą.



— Dobrze więc, zrobmy tak, — zawołał major z niecierpliwością; — tylkoż zaraz.

Nie potrzeba było dalszych nalegań, bo strzelec w tejże chwili powiedziawszy te dwa słowa: Proszę za mną! zawrócił się i tąż samą drogą, która w niebezpieczne położenie wprowadziła, poszedł na zad. Bójżn spotkania się co krok z objazdem, strażą, lub czatami, nakazywała podróżnym największą cichość i ostrożność. Przechodząc znowu nad stawem strzelec i Hejward jakby zmównie rzucili spojrzenie na miejsce, gdzie wprzód widzieli młodego grenadyera, lecz już go tu niebyło. Kałuża krwi tylko potwierdziła bez tego niewątpliwy ich domysł.

Sokole Oko wkrótce skierował się ku górom otaczającym zachodni brzeg doliny, albo raczej wąwozu, i po przykrej drodze, wśród ogromnych skał odłamów, szybkim krokiem prowadził swych towarzyszy, a chociaż im czarniejszy cień wysokich opok

zaczynał ich okrywać, tym więcej spotykali zawad; pewnośc jednak że coraz są bezpieczniejsi, sownie wynagradzała trudy.

Scieszka kręto idąca między urwiskami i drzewy prowadziła na górę tak nieznanie, że chyba tylko mieszkańcy pustyń, których stopy ją udeptały, mogli wiedzieć o niej. W miarę tego jak się podnosili nad dolinę, powietrze zaczynało być czystsze i jaśniej dawały się postrzegać przedmioty. Karłowate zarośle z trudnością żywiące się na suchych bokach wyżyn, zostały już pod ich nogami i ukazał się wierzchołek mchem porośły. Wstąpiwszy tu nakoniec znaleźli małą płaszczyznę, a z niej przez sosny rosnące na górze z drugiej strony horykańskiej doliny, ujrzeli czerwonawy blask zorzy.

Strzelec powiedział dwóm siostrom, żeby posiadały z koni, i uwolniwszy zmordowane bydłęta od ciężaru siodeł, puścił rozkiełzane paść się trawą i liśćmi krzewów, jakie w tém miejscu być mogły.

— Ruszajcie sobie szukać paszy, gdzie się wam podoba, — rzecze poganiając je trzylami, — ale strzeżcie się, żebyście same nie zostały pastwą wilków włóczących się po tych górach.

— Alboż nam nie będą potrzebne jeśliby nas ścigano? — zapytał Hejward.

— Chodź pan, zobacz i sam to osądź, — rzecze strzelec zbliżając się do wschodniego brzegu płaszczyny i skinieniem przywołując dalsze towarzystwo. — Gdyby tak łatwo było czytać w sercu ludzkim, jak widzieć stąd, co się dzieje w całym obozie Montkalma; mniej szkodziliby obludnicy i przewrotność Mingów, a uczciwość Delawarów wyszłaby na jaw.

Podróżni stanąwszy o kilka kroków od brzegu góry, przekonali się jednem spojrzeniem, iż strzelec nie darmo obiecywał zaprowadzić ich na miejsce niedostępne najtrafniejszym gończym i oddali sprawiedliwość jego przezorności w wyborze schronienia.

## ROZDZIAŁ V.

---

„Któżby zniósł męki długiego rozstania,  
Gdyby nie słodka nadzieja nagrody  
W rokosznej chwili pierwszego spotkania!”

*Rowe.*

**G**ÓRA na której znajdowali się wędrowcy nasi, przeszło na tysiąc stop wznosiła się nad poziom doliny. Była to piramidalna opoka wysuniona nieco naprzód z owego łańcucha wyżyn, co wiele mil ciągnąc się w dół zachodnich brzegów jeziora, rozsypuje się na urwiste skały, rzadka zielonemi drzewami upstrzone, i nieładem ucieka do Kanady. U podnoża ich, południowy brzeg Horykanu ogromnym półkolem wbiegał między dwie góry na nierówną i

trochę podniesioną płaszczyznę. Jezioro święte roztoczone ku północy wydawało się patrzącym z wysokości wąską wstęgą, a mnóstwo zatok, przylądków i wysepiek jakby drobną koroną przy niej. O kilka mil dalej wody ginęły z oczu w górach i mgłę, miotanej dziwacznie wietrzykiem porankowym; a potem znowu w niezmiernem oddaleniu, raz jeszcze przed opłaceniem dani jezioru Szamplen, ukazywały się między dwoma wierzchołkami skał czarniawych. Na południe rozciągały się równiny albo raczej lasy, będące teatrem opisanych już zdarzeń.

Górzysta ta okolica zajmowała mil wiele, lecz zniżając się powoli w stronie północnej zmieniała się nakoniec w płaszczyznę przeciętą gościńcem przewozowym. wzdłuż obu łańcuchów gór otaczających dolinę i brzegi jeziora rozwijały się lekkie kłęby mgły, wychodzące z odludnych lasów i tak podobne do słupów dymu, iż ktoby pomyś-



łał że je wydają liczne kominy miasteczka ukrytego w puszczy; wyziewy bowiem innych miejsc niskich i bagnistych w grubych massach ciążyły ku ziemi. Jeden tylko obłoczek, jak śnieg biały, ułatywał właśnie nad wodami stawem krwi zwanemi.

W południowej, albo raczej w południowo zachodniej stronie widać było sypane z ziemi wały i niskie budowy twierdzy William Henryka. Podstawy dwóch baszt naczelnych oblewało jezioro; do innych ścian warowni broniły przystępu szerokie na bagnach rowy. Za przestworem wytrzebionym koło szaniec, gdzie tylko wzrok niewybiegał pasmem wód gładkich, lub nie opierał się na stromych bokach skał górujących nad najwyższe drzewa, wszędzie spotykał zieloną powierzchnię lasów.

Przed bramami warowni stało kilka straży zważających wszystkie poruszenia nieprzyjaciół; a wewnątrz jej nawet, u drzwi obwachu można było widzieć żołnierzy u-

śpionych po bezsennej nocy. W południowo wschodniej stronie tuż przy twierdzy był oboz w okopach na wzgórzu, gdzie właściwiej samą twierdzę zbudować należało. Sokole Oko powiedział majorowi że to jest posiłkowy oddział wojska, co chwilą pierwszej od niego wyruszył z Edwarda. Nad lasem ciągnącym się ku południowi gęste obłoki dymu łatwo dawały się rozróżnić od mgły przezroczystszej, co strzelec uważał za znak niewątpliwy, że hordy dzikich miały stanowisko w tém miejscu.

Ale inny widok najmocniej zajął młodego majora. Grzbiet ziemi ciągnący się od podnoża gór aż do zachodnich brzegów Horykanu, chociaż z wysokości wydawał się zbyt wązkim aby mógł pomieścić znaczną ilość wojska, miał jednak w istocie kilka set sążni szerokości i dźwigał liczbę namiotów dostateczną dla dziesięciu tysięcy żołnierza. Baterye dawno już były usypane na nim, i kiedy podróżni nasi z rozmaitem

uczuciem przeglądali okolicę, jakby kartę jaką rozwiniętą pod niemi, grzmot dział podniósł się z doliny i przebiegając od echa do echa, rozległ się po górach wschodnich.

— Już światło dnia i tam dochodzić zaczyna, — rzecze strzelec z krwią najzimniejszą. — Ci, co powstawali raniej, hukiem dział chcą zbudzić ospałych. Spoźniliśmy się kilku godzinami; Montkalm rozpuścił po lasach przeklętych Irokanów swoich.

— Widocznie przypuszczono szturm do twierdzy, — odpowiedział Hejward, — ale czy nie mamy, czy nie możemy próbować przynajmniej jakiego sposobu, żeby wejść do niej? Cokolwiek bądź, lepiej dostać się w niewolę Francuzów, niżeli wpaść w ręce Indyau.

— Patrz pan, jak kula roztrzaskała węgiel domu, gdzie komendant mieszka! — zawołał Sokole Oko, zapominając się że to mówił przed córkami Munra. — O! Francuzi dobrze umieją wyrzycować armatę i choćby mur

był najgrubszy, nie tyle czasu będzie im kosztowało zabicie, co nam postawienie.

—Hejwardzie!—odezwała się Kora—nie mogąc podzielać niebezpieczeństwa, nie mogę dłużej patrzeć na nie. Idźmy do Montkalma i prośmy go o wpuszczenie nas do twierdzy. Czyliż będzie on śmiał odmówić córce, żądającej tylko powrócić do ojca?

— Trudno byłoby pani dojszć do jenerała francuzkiego z włosami na głowie, — spokojnie odpowiedział strzelec. — Gdyby nam kto dał choć jedną z pięciuset łodzi uwiązanych przy brzegu, moglibyśmy na los szczęścia puścić się do twierdzy; ale .... No! ogień nie będzie trwał długo; oto mgła nadchodzi i zaraz dzień w noc zamieni, a wtenczas strzały indyjskie staną się niebezpieczniejsze niżeli armaty chrześcijan. Jednak nam może to posłużyć, jeżeli państwo macie dosyć odwagi przedzierać się śród nieprzyjaciół; bo co ja, to czuję wielką chętkę zbliżyć się do obozu, chociażby dla tego

tylko, żeby powiedzieć słówko tym psóm Mingóm, co się tam snują koło tych brzoż kilku.

— Nie braknie nam odwagi, — mężnie odpowiedziała Kora; — bez trwogi wszędzie pójdziemy za tobą, byleby połączyć się z naszym ojcem.

Strzelec obrócił się i spojrzał na nią z uśmiechem serdecznego zadowolenia.

— Gdybym dostał, — rzecze, — choć tysiąc ludzi mających dobre oczy, silne członki i odwagę pani, w przeciągu tygodnia wszystkich tych ichmościów Francuzów przegnałbym w głąb ich Kanady; niechby tam wyli jak psy na uwięzi albo jak wilki zgłodniałe. Ale idźmy, — dodał odwracając się do reszty towarzystwa, — idźmy nim mgła i nas nie ogarnie; na dole będzie ona nam potrzebniejsza. Jeśliby mię spotkał przypadek jaki, pamiętajcie tak się kierować, żeby wiatr ciągle lewą stronę twarzy obwiewał; albo lepiej pilnujcie się Molikanów; instynkt



wskazuje im drogę, równie we dnie jak w nocy.

To rzekłszy dał znak ręką żeby szli za nim i szybko lecz ostrożnie zaczął spuszczać się z góry. Za pomocą Hejwarda dwie jego towarzyszki lubo bojaźliwym krokiem, prędzej jednak i łatwiej zstąpiły na dół niżeli były weszły na górę.

Strzelec wziął się potem drogą wiodącą prosto prawie do furtki w zachodniej ścianie wałów ukrytej, ledwo o pół mili od miejsca gdzie się zatrzymał, żeby Hejward prowadzący kobiety mógł go dognać. Ponieważ zaś mając drogę łatwą i własną niecierpliwością nagłeni, wyprzedzili bieg mgły powolnym wiatrem z nad Horykanu gnanej za nimi, trzeba było jeszcze zaczekać nimby ciemny obłok wyziewów powlokł nieprzyjacielski oboz. Mohikanie tymczasem udali się na wzwiady do blizkiego lasku, a wkrótce i strzelec chcąc czém prędzej dowiedzieć się

od nich co widzieli i uczynić własne postrzeżenia, pośpieszył w tęż stronę.

Po chwili wrócił zaczerwieniony ze złości, i temi słowy gniew swój wynurzył:

— Przebiegłe psy, Francuzi! na samej drodze naszej postawili pikietę, dwóch ludzi, białego i czerwonego. Któż teraz podczas mgły może być pewny, że między nich nie wpadnie?

— Czy nie możemy zboczyć trochę żeby ich ominąć, — rzecze Hejward, — a potem znowu na naszą drogę powrócić?

— W takim тумanie straciwszy raz kierunek, — odpowiedział strzelec, — trudno jest wiedzieć kiedy i jak uda się tego odzyskać. Mgła Horykanu, to nie jedno co dym z łuki albo ze strzelby.

Ledwo wymówił te słowa, kula armatna przeszła lasem o kilka kroków od niego, wyrwała kawał ziemi, obita się o sosnę i padła przy niej. Razem prawie z tym pościgiem śmierci przybyli dwaj Mohikanie: Unkas

zaczął coś po delwarsku opowiadać strzelcowi, żwawo robiąc rozmaite poruszenia rękoma.

— To bydlę może, — odpowiedział Sokole Oko; — potrzeba puścić się na jedno, bo nie można tak samo leczyć gorączki jak bólu zębów. No, idźmy, już mgła nadeszła.

— Chwilę jeszcze, — zawołał Hejward, — powiedz mi tylko jaką nową powzięłeś nadzieję.

— Wkrótce da się to widzieć, — odpowiedział strzelec; — nadzieja niewielka, ale zawsze lepsza niż żadna. Unkas powiada że ta kula nim od twierdzy doszła tutaj, wiele razy rozorała ziemię, i jeśliby innych zabrakło nam znaków, jej droga może nam wskazać kierunek. Idźmy zatem nietracąc czasu na gawędce, bo zwłoka może to zrobić, że mgła opadnie i zostaniemy w pół drogi wystawieni na ogień wojsk obu.

Hejward czując że w tak niebezpiecznym

razie więcej należało czynić niż mówić, wziął pod ręce swoje towarzyszki i przyspieszał ich kroki, żeby nie stracić z oczu przewodnika. Wkrótce dało się widzieć, że strzelec bez przesady opisywał mgłę Horykanu, gdyż zaledwo uszli pięćdziesiąt kroków, tak ciemny otoczył ich obłok, iż o kilka stop nie mogli rozróżniać jedni drugich.

Po niejakiem wyboczeniu w lewo, zwrócili się znowu w prawo i byli już, jak się zdawało Hejwardowi, na połowie drogi do pożądanej furtki, kiedy nagle głos, ledwo o dwadzieścia kroków oddalony, powitał ich uszy straszliwém: kto idzie?

— Prędszej, prędszej! — rzecze strzelec pocichu.

— Prędszej! — powtórzył Hejward podobnie.

— Kto idzie? — zawołało w tejże chwili razem dziesiątek ludzi, z groźnym przyciskiem.

— Ja! — odpowiedział Dunkan dla zwło-

ki, i przyśpieszywszy kroku ciągnął za sobą zlekniome towarzyszki.

— Głupi! kto ja?

— Swój, — odpowiedział znowu Dulkan nie zatrzymując się bynajmniej.

— Swój! Prędzej sądziłbym że cudzy. Chodź tu zaraz i odpowiedz mi, albo dali-bóg wyprawię cię rozmawiać z djabłem! Milczysz? Baczość bracia! Pal!

Rozkaz ten wypełniono w mgnieniu oka i kilkanaście strzałów karabinowych huknęło razem. Szczęściem że kierunek ich nie zupełnie był trafny; kule jednak zagwizdały o parę cali od uszu Dawida, nieoswojonych z tą muzyką. Wśród tłumnego okrzyku Francuzów dał się słyszeć rozkaz powtórnego strzału i ścigania osób podejrzanych. Hejward w dwóch słowach wytłumaczył strzelcowi co mówiono po francuzku, a ten zatrzymał się natychmiast i równie przytomnie jak prędko obmyślił sposób.

— Dajmy ognia i my także, — rzecze, —



oni pomyślał że to wycieczka z twierdzy, będą wołali o positek, i nim się go doczekają, już będziemy bezpieczni.

Projekt był dowcipny, ale skutek niepomysłny. Pierwszy ogień ręcznej broni ściągnął już uwagę całego obozu; drugi dopiero, poruszył wszystkie wojska od podnoża gór aż do brzegów Horykanu. Bębny ze wszęch stron uderzyły trwogę i dał się słyszeć rozruch powszechny.

— Otoż zwróciliśmy na siebie całe ich wojsko, — zawołał Hejward, — uciekajmy przyjacielu, uciekajmy! idzie tu o życie nas wszystkich.

Strzelec radby był pójść za tą radą, ale w chwili trwogi i zamieszania stracił kierunek i niewiedząc gdzie się udać, próżno oba policzki wystawiał na działanie wiatru; powietrze było zupełnie spokojne. W tak ciężkim kłopotcie Unkas znalazł miejsce, gdzie kula przechodząc lasem zerwała trzy kępiny.

— Pozwól mi, niech ja sam zobaczę, — rzekł Sokole Oko, schylając się do ziemi i wnet podniosłszy się zaczął iść spiesznie.

Wołania, groźby, przekleństwa, strzały ręcznej broni, dawały się słyszeć naokoło i nawet dosyć blisko. W tém krótki blask rozdarł mgłę nagle, mocny huk odbił się aż w górach i wiele kul armatnych poleciało przez równinę.

— To ztwierdzy! — zawołał strzelec zatrzymując się natychmiast, — a my jak szaleni bieżemy do lasu prosto pod noże Makwow!

Tulacze nasi postrzegłszy omyłkę, starali się prędko ją poprawić. Dla łatwiejszego pośpiechu Hejward polecił Unkasowi prowadzić Korę, a młody Mohikan, jak się zdawało, chętnie przyjął ten ciężar.

Tymczasem pogoń natarczywie ścigała niewidomych zbiegów. Każda chwila groziła im utratą życia lub wolności.

— Nie oszczędzać tych łotrów! — krzyknął

uż tylko o kilkanaście kroków za nimi naczelnik ścigających.

Lecz w tejże chwili, głos mocny tonem rozkazującym zawołał przed nimi na wierzchołku baszty:

— Na miejsce, bracia! Czekajcie póki się nieprzyjaciel nie ukaże, a potem strzelajcie po za ziemi!

— Mój ojczy! mój ojczy! — odezwał się w mgle głos niewieści; — to my, Alina, Kora! Ratuń swoje córki!

— Stójcie! — zawołał znowu na baszcie głos mężki, z całą niespokojnością ojcowskiego przywiązania; — to one! Bóg wraca mi dzieci! Otworzyć furtkę! Prędszej za wały, waleczni bracia! ale nie dawajcie ognia; atak na bagnety!

— Wędrowcy nasi byli przy samej furtce prawie, kiedy skrzypnęły zardzawiałe jej zawiasy i wybiegł długi szereg żołnierzy w czerwonych mundurach. Duncan poznawszy swój batalion, oddał Ailinę w ręce Da-

wida, stanął na czele wycieczki i wnet pogoń zmusił do odwrotu.

Alina i Kora widząc się nagle opuszczonemi od Hejwarda, stanęły zdumione i pomieszane, ale nim zdołały objawić jedna drugiej powód zadziwienia, oficer postaci olbrzymiej prawie, osiwiwały bardziej z trudów wojennych niż ze starości, chociaż wiek podeszły nie ujmując powagi jego męskiej twarzy, łagodził na niej wyraz dumy żołnierskiej; wybiegł przez furtkę, przyskoczył do nich, uścisnął je serdecznie i bujnymi łzami skrapiając ich czoła, zawołał po angielsku znacznie ze szkocka:

— Dzięki ci Boże za tę łaskę! Teraz na wszystkie niebezpieczeństwa sługa twój gotów!

---

ROZDZIAŁ VI.  

---

„Obaczmyż czego to chce ten poseł układny.  
Francuz filut; lecz i mnie, nie bito po głowie,  
Odgadnę jego myśli wprzód nim słówko powie.“

*Szekspir.*

**K**ILKA dni od przybycia Hejwarda i jego towarzyszek do twierdzy William Henryka, upłynęło w nędzy, zamięszaniu i niebezpieczeństwach; gdyż nieprzyjaciół oblegał silnie, a Munro nie miał dostatecznych środków obrony. Zdawało się że Web z całym swoim wojskiem usnął nad Hudsonem i zapomniał o tem, jaka ostateczność groziła rodakom. Montkalm wszystkie lasy napełnił dzikimi; ich wycia rozlegając się po obozie angielskim, nową przejmowały trwogą serca



żołnierzy, przez samo już uczucie własnej słabości pozbawione męztwa, a zatem skłonne do przyjmowania w powiększonej postaci wszelkich wrażeń przestרחu.

Inny duch jednak ożywiał zamkniętych w twierdzy. Zagrzewani słowami i przykładem naczelników, zdobyli się jeszcze na odwagę i tak byli gotowi bronić dawniej nabytej sławy, że sam ich wódz surowy oddawał im sprawiedliwość.

Jenerał francuzki zaś, chociaż znany z doświadczenia i biegłości, zdawało się atoli, że po to tylko przebył lasy, żeby zajrzeć nieprzyjacielowi w oczy. Zaniechał on nawet osadzić gór przyległych, skądby tak bezkarnie mógł piorunować warownię, iż taktyka terazniejsza nigdyby nie przebaczyła opuszczenia podobnej korzyści.

Ta niejakoś niedbałość o stanowiska panujące, albo raczej bojazń trudów, jakich wymaga wdzieranie się na wzgórze, może być uważana za błąd powszechnie wła-

ściwy wojnom ówczesnym. Wziął on początek, podobno w czasie tych wypraw indyjskich, kiedy ścigając dzikich po lasach, jak nie spotykano żadnej twierdzy, tak też artylerya prawie nie potrzebna była. Błąd ten przetrwał aż do wojny powstania i przypawił Amerykanów o utratę ważnej warowni Tikondegory, co otworzyło wojskom Burgoyna drogę do samego śródku kraju. Dziś, nieuwaga ta, czy niedbałość, jakkolwiek ją nazwiemy, wydaje się dziwną, bo wiadomo, że opuszczenie podobnego stanowiska, bez względu ile trudów może kosztować zajęcie jego, ujęłoby sławy inżynierowi, a nawet i samemu dowodzczy wojska.

Podróźni bez celu, chorzy szukający zdrowia, miłośnicy pięknych widoków przyrodzenia, udając się do wód sztucznych wydobytych z ziemi na rozkaz wysokiego urzędnika, który w śmiałym tém przedsięwzięciu nie lękał się narażać powszechnej opinii o sobie, w wygodnych pojazdach prze-

jeżdżają teraz opisane tu okolice; lecz nie należy myśleć przeto, że przodkowie nasi równie łatwo zwiedzali te lasy, wstępowali na te góry, lub żeglowali po tych jeziorach. Jeżeli udało się natenczas sprowadzić jedną armatę większego kalibru, a razem tak dostateczny zapas naboju, żeby ta nie stała się tylko próżnym i uprzykrzonym ciężarem, uważano to już za odniesione zwycięstwo.

Niedostatki wynikające z takiego położenia rzeczy, mocno dawały się czuć mężnemu obrońcy William Henryka. Chociaż Montkalm z gór nie korzystał, na dole jednak sztucznie usypał baterye, i równie zręcznie jak czynnie ich używał. Oblężeni zaś ledwo mieli sposoby obrony, na jakie twierdza w głębi pustyni położona, na prędcę zdobyć się mogła. Owe nawet piękne wód płaszczyny, ciągnące się aż do Kanady, nie tylko żadnej nie dawały im pomocy; lecz jeszcze nieprzyjaciołom ułatwiały przystęp

Piątego dnia od czasu oblężenia warowni, a czwartego od wejścia do niej podróżnych naszych, major Hejward korzystając z krótkiego zawieszenia broni, wstąpił na basztę nadbrzeżną, żeby użyć świeżego powietrza i zobaczyć jak daleko postąpiły przygotowania oblegających. Wszyscy żołnierze pośpieszyli cieszyć się chwilą wypoczynku; jeden tylko sztyldwach przechodził się po wale. Wieczor był piękny, powietrze spokojne i czyste. W tonie wód zwierciadlanych, gdzie niedawno z łoskotem tonęły kule, odbijał się przelotny cień obłoczków; na dolinie, gdzie niedawno pod kłębam dymu grzmiały armaty, rozwijał się zachwycający widok. Ostatnie promienie słońca żywym blaskiem oświecały gór wierzchołki. Niezliczone wysepki, jedne równe z wodą, drugie w kształcie pagórków okrągłych, zdobyły Horykan, jak stokrocie trawnik zielony. Mnóstwo łodzi zwolna żeglowało po jeziorze: w nich tłumnie zebrani oficerowie

i żołnierze wojsk francuzkich, bawili się rybołówstwem i polowaniem.

Widok ten był spokojny i razem pełen życia. Przyrodzenie było jednostajne i wspinałe; a człowiek stawiał obok niego sprzeczność różnaitości i ruchu.

Dwie chorągiewki białe, godła chwilo-  
wego zawieszenia, nie tylko walk lecz i nie-  
przyjaźni, ulatywały cicho, jedna na rogu  
twierdzy wchodzącym w jezioro, druga na  
pierwszym namiocie obozu Montkalma. Nie-  
co dalej za niemi, w długich zwojach po-  
wiewały dumnie współzawodnicze sztandar-  
y Anglii i Francyi.

Kilkudziesiąt młodych, wesołych i pło-  
chych Francuzów, ciągnęło sieć poza pia-  
szczystym brzegu jeziora, prosto przeciw  
mleczących natenczas dział nieprzyjaciel-  
skich. Gromady żołnierzy grając w rozmai-  
te gry u podnoża gór, wzruszały ich echa  
okrzykami radości. Jedni chcąc zblizka wi-  
dzieć, jak się powodziło rybakom i myśliw-



com biegli do brzegu; drudzy żeby mieć pod okiem razem wszystkie części rozległego obrazu, wdzierali się na skały; inni przy bębnie i piszczałce tańczyli i śpiewali wśród koła Indian, ciekawością wywołanych z lasów i stojących w niemem zadziwieniu. Słowem cały ten widok oznaczał raczej dzień uroczystości wesołej, niżeli godzinę skradzioną trudom i niebezpieczeństwom wojny.

Duncan kilka minut przypatrywał się temu widowisku, oddany myślom jakie w nim wzbudzało, lecz kiedy w tém usłyszał stąpanie ludzi idących po za wale do tyle kroć już wspomnianej furtki, zbliżył się nad brzeg baszty i postrzegł oficera francuzkiego prowadzącego strzelca pod strażą. Sokole Oko, bez swej ulubionej broni, bez danielówki, jak ją nazywał, z rękoma w tył związanemi, szedł smutny i znużony. Można było widzieć na jego twarzy wstyd i zmartwienie, iż się dał pojmać

nieprzyjaciołóm. Ponieważ chorągwie białe często podczas rozejmu posyłano nawzajem dla wolnego przejścia rozmaitym gościom; major spodziewał się ujrzeć oficera przybywającego z tym godłem pokoju; ale za pierwszym rzutem oka na wysoką postać jeńca, poznawszy swego towarzysza podróży, zadrżał z zadziwienia i pośpieszył na dół do twierdzy.

Tymczasem głos innych osób zwrócił jego uwagę i ułożony zamiar wybił mu z głowy. Na drugiej stronie baszty Alina i Korra używając także wieczornego chłodu, przechodziły się po wale. Hejward od chwili kiedy je porzucił, jedynie dla tego żeby wstrzymując pogoń zabezpieczył ich ucieczkę do twierdzy, zajęty ciągle mnóstwem czynności nie miał czasu widzieć się z niemi. Były one wtenczas blade, zmordowane podróżą i przerażone strachem; teraz znowu róże rozkwitły na ich licach, znowu wesołość, lubo z niejaką obawą zmieszana,

rozjaśniła ich czoła. Nie dziw więc że młody żołnierz spotkawszy je niespodziewanie, zapomniał na chwilę, o wszelkim innym przedmiocie swych myśli. Prędką Alina jednak wyprzedziła go, w słowach.

— Otoż jest nasz wiarołomny i niegrzeszny rycerz, co opuściwszy swoje damy w szrankach, śpieszy na niebezpieczeństwa potyczki! — odezwała się młoda piękność tonem wymówki niby, chociaż jej oczy, jej uśmiech i poruszenia ręki, zdradzały udanie. — Tyle już dni, tyle wieków czekamy, czy nie przyjdzie upaść nam do nóg i pokornie błagać przebaczenia za tak haniebną ucieczkę, bo nigdy daniel przepłoszony, jak mówił nasz szanowny przyjaciel Sokole Oko, nie mógł uciec prędej.

— Domyślasz się zapewne Hejwardzie, że Alina mówi, jak mocno pragnęłyśmy oddać tobie podziękowania należne, — rzecz mniej wesoła i poważniejsza Kora. — Ale w samej rzeczy tak długie niewidzenie się

z nami dziwiło nas bardzo, kiedy powinienesz być bydz pewnym, że wdzięczność córek równa jest, jak ich ojca.

— Wasz ojciec sam może zaświadczyć, że chociaż oddalony od was, o waszém bezpieczeństwie myślałem. To miasto namiotów, — dodał wskazując na oboz wojska, przybyłego z twierdzy Edwarda, — bardzo usilnie starają się nam odebrać, a jeśliby kto opanował to stanowisko, ten wkrótce stałby się panem warowni i wszystkiego co się w niej znajduje. Od czasu naszego przybycia przepędzałem tam wszystkie dni i noce. Ale, — mówił dalej z niejakiemś pomieszaniem i smutkiem odwracając głowę; — gdybym i nie miał tak ważnej przyczyny, sam wstyd możeby nie pozwolił mi pokazać się przed wami.

— Hejwardzie! Dunkanie; — zawołała Alina nachylając się żeby zajrzeć mu w oczy i wyczytać, czy to powiedzenie w istocie ściągało się do tego, co jej przyszło na pa-

mięć.—Gdybym wiedziała, że ten język szczerbiotliwy zrobi ci choć najnniejszą przykrość, wskazałabym go na wieczne milczenie! Kora niech powie, jak umiemy cenić twoją gorliwość dla nas, jak szczerą, jak nieograniczoną prawie czujemy wdzięczność.

— I Kora poświadczy że to prawda? — zapytał Hejward, rozweselony znowu uprzajemem obejściem się Aliny; — Cóż mówi poważna Kora nasza? Czy troskliwy i czynny żołnierz, może zagładzić winę ospałego rycerza?

Kora nie odpowiedziała mu zaraz i jakby zajęta widokiem jakim, stała przez chwilę twarzą obrócona do jeziora, a kiedy potem przeniosła na niego swoje czarne oczy, takie malowało się w nich cierpienie, że młody żołnierz przejęty niespokojnością i politowaniem, zapomniał o wszystkim inném.

— Co to, czy nie źle się zrobiło miss Munro? — rzecze; — cierpisz, a myśmy się tak zagadali!



— Nie, — odpowiedziała Kora, nie przyjmując podanej sobie ręki. — Jeżeli obraz życia nie przedstawia mi się w tak powabnych kolorach, jak tej młodej i niewinnej wietrznicy—dodała z przymileniem opierając dłoń na ramieniu siostry; — jestto wina doświadczenia, a może też i charakteru mojego. Ale patrz majorze, — mówiła dalej starając się nie okazać najmniejszego znaku słabości, — spojrzij na około, i powiedz mi; ten widok co nas otacza, czém jest dla córki żołnierza, który za jedyne szczęście uważa honor i sławę?

— Ani honoru, ani sławy, nie mogą mu ująć okoliczności, zgoła nie zależące od niego, — żywo odpowiedział Hejward.— Ale to właśnie przypomina mi powinność. Muszę widzieć się z półkownikiem dla pomówienia z nim co postanowił względem kilku ważnych środków obrony. Niechaj cię Niebo ma w swojej opiece szlachetna Koro! bo inaczej cię nazwać nie mogę; —

dodał biorąc ją za rękę, kiedy usta jej drżały i śmiertelna bladość twarz pokrywała. — Czy w szczęściu, czy w przeciwnościach, wiem że zawsze będziesz ozdobą płci twojej. Do zobaczenia, Alino, — rzekł potem już nie wielbiciela, lecz kochanka głosem; — spodziewam się że wkrótce spotkamy się wśród uciech i wesołości odniesionego zwycięstwa.

Nie czekając odpowiedzi śpiesznie zstąpił z wieży, przeszedł plac niewielki i w kilka chwil stanął przed naczelnikiem.

Munro smutny przechodził się po swoim pokoju, kiedy wszedł Hejward.

— Uprzedziłeś moje żądanie, majorze, — rzecze półkownik, — chciałem postać prosząc, żebyś był łaskaw przyjdź do mnie.

— Postrzegłem że posłaniec, którego tak usilnie zalecałem panu, powrócił niewolnikiem Francuzów i mocno mię to obeszło. Spodziewam się jednak, że wierność jego nie podlega podejrzeniu?

— Wierność Długiego Karabina oddawna jest mnie znajoma i bynajmniej nie wątpię o niej, chociaż szczęście zwykle mu przyjaźne odstąpiło go nakoniec. Montkałm schwycił jego i przez swoje przekłętą grzeczność francuzką odesłał mi, rozkazując powiedzieć, że ponieważ wie jak wiele stoję o tego biegusa, nie chce mię pozbawiać jego usług. Otoż masz, majorze, prawdziwie jezuitski sposób doniesienia komuś o przykrym wypadku!

— Ale generał Web, . . . pomoc której oczekujemy. . . .

— Czyż nie patrzałeś w stronę południową? Czy nic tam nie postrzegłeś?—zawołał komendant z uśmiechem pełnym goryczy; — oh, oh, jesteś młody, jesteś zbyt wielka gorączka, majorze, nie dajesz tym ichmościom czasu przyjdź do nas!

— To więc idą? postaniec mówił że już idą?

— Idą, tylko kiedy i kędy przyjdą, te-

go mi powiedzieć nie mógł. Zdaje się wszakże że nioś jakiś list do mnie, i to jedno, co mi się podoba, bo mimo zwyczajną uprzejmość waszego markiza Montkalma, jestem pewny, że gdyby w tym liście były złe nowiny, greczny Monsie (\*) nie zataiłby ich przede mną.

— Odesłał zatem posłańca, a posyłkę zatrzymał?

— Tak właśnie uczynił, i to zapewne, jak powiadają, przez dobroć i prostotę duszy. Gotów jestem pojsdź o zakład, że gdyby odkryć istną prawdę, pokazałoby się, że dziad dostojnego markiza dawał lekcyę szlachetnej sztuki tańców.

— Ale co powiada strzelec? przecież ma on oczy, uszy i język. Co ustnie donioś Panu?

---

(\*) Monsieur, w ustach Anglika toż samo znaczy co Francuz.

— Oh pewno ! nie jest on ani głuchy, ani ślepy, i bardzo dobrze może opowiedzieć co widział lub słyszał. Z jego tedy doniesienia, można się dowiedzieć: że nad Hudsonem jest pewna twierdza Jego Królewskiej Mości Króla Angielskiego; że ta twierdza nazwana Edwardem na cześć Jego Książęcej Mości, Księcia Jorku; że w tej twierdzy znajduje się liczna załoga, jak to bydź powinno....

— Ale czy nie widział on jakiego ruchu, jakiego znaku, coby zapowiadał wysłanie pomocy dla nas ?

— Widział paradę wojskową, jedne rano, drugą wieczorem, i gdy pewien tęgi chłopak z wojsk prowincjonalnych.... Ale jesteś w połowie Szkotem, Dunkanie; musisz znać przysłowie, że kiedy proch upuszczony z ręki na żar padnie, wtenczas ogień wybuchnie; otoż.... Tu stary wojownik zatrzymał się nagle i porzuciwszy ton gorzkiego urągania, zaczął mówić poważniej:



— Jednak mogło, musiało być w tym liście cokolwiek takiego, o czém nie źle byłoby wiedzieć.

— Potrzeba nam prędko obierać środki, — rzecze Dulkan, postrzegłszy w naczelniku tę zmianę humoru i chcąc czém prędzej wprowadzić rozmowę o przedmiotach, które za daleko ważniejsze uważał; — muszę wyznać że oboz w szaniecach zamknięty nie długo trzymać się może; a przy tém ze smutkiem dodać mi przychodzi, że i w twierdzy nie lepiej idą rzeczy: Połowa naszych armat niezdatna jest do użycia.

— Czyliż może być inaczej? Jedne łowiono w jeziorze, drugie zbierano w lesie, gdzie rdzawiały od czasu odkrycia tego kraju, a najlepsze są to tylko cacka rozbojników morskich, nie zaś armaty. Czy sądzisz mój panie, że na pustyni o trzy tysiące mil od Anglii, można mieć artyleriją opatrzoną dobrze?

— Wały nasze są blizkie upadku, — mó-

wił dalej Hejward, nie zrażając się tém nowém wybuchnieniem gniewu; — brak zapasów już się czuć daje; w żołnierzach nawet można postrzegać zniechęcenie i bojaźń.

— Majorze Hejwardzie, — odpowiedział Munro, zwracając się do niego z wyrazem godności, jaki mu wiek i wyższy stopień przybrać dozwalały; — daremniebym służył lat pięćdziesiąt królowi mojemu, i doczekał się tych siwych włosów, gdybym nie znał tego o czém mi powiadasz i nie wiedział w jak ciężkich, w jak naglących znajdujemy się okolicznościach; ale winniśmy wszystko poświęcić dla honoru wojsk królewskich, a nieco też i dla własnego. Póki tylko będę miał jakąkolwiek nadzieję wsparcia, póty będę bronił twierdzy, chociażby kamykami zbieranymi na brzegu jeziora. Ale ten list nieszczęsny . . . trzeba nam koniecznie wiedzieć jakie ma zamiary ów człowiek, którego nam hrabia Ludon na swójem miejscu zostawił.

— Mogęż w tém cokolwiek dopomodz?

— Tak jest, majorze, możesz. Markiz Montkalm w dodatku do wszystkich swoich grzeczności kazał mię prosić, żebym widział się z nim osobiście na polu, dzielącym naszą twierdzę od jego obozu. Nie zdaje mi się wszakże rzeczą przyzwoitą zbyt skwapliwie ubiegać się o ten zaszczyt i umyśliłem WPana, oficera zaszczyconego stopniem dostojnym, posłać jako zastępcę; bo zawsze byłoby to ubliżeniem dla Szkocyi, gdybyśmy dozwolili mówić, że którykolwiek naród przewyższył nas w grzeczności.

Nie rozszerzając się nad porównywaniem ukształcenia w tym względzie rozmaitych narodów, Dulkan odpowiedział tylko, że jest gotów wypełnić wszystkie rozkazy swego naczelnika. Nastąpiła potem długa i poufała rozmowa, w której Munro nauczał młodego oficera, jak ma postąpić i dawał mu niektóre przestrogi, czerpane ze swego doświadczenia. Hejward pożegnał go i wyszedł.

Ponieważ zaś był tylko zastępcą kometanta twierdzy, nie czyniono tych obrządków, jakieby towarzyszyły widzeniu się dwóch dowodzców sił nieprzyjaznych. Zawieszenie broni trwało jeszcze; otworzono furtkę, ukazała się chorągiewka biała i przy odgłosie bębnów Dunkau wystąpił za wały, w dziesięć minut po odebraniu zlecenia. Oficer dowodzący przednią strażą nieprzyjacielską spotkał go porządkiem zwyczajnym i zaprowadził do namiotu generała francuzkiego.

Montkalm przyjął młodego majora w kole znakomitszych oficerów swoich i wodzów wielu pokoleń Indyjskich, trzymających jego stronę. Hejward rzuciwszy wzrok na tę gromadę ludzi czerwonych, zastanowił się mimowolnie, kiedy postrzegł między nimi surową twarz Magui, który poglądał na niego z tą zimną i ponurą uwagą, jaka zawsze go odznaczała. Głos podziwienia nawet tylko co mu się z ust nie wymknął; ale wnet

przypominając z jakim poselstwem i do kogo przybywał, ukrył wewnętrzne wzruszenie i odwrócił się do jenerała nieprzyjacielskiego, który dał już krok na jego spotkanie.

Markiz Montkalm był natenczas w kwiecie wieku, i można dodadź, na najwyższym szczeblu powodzeń swoich. W tém jednak położeniu godném zazdrości, nie mniej nadskakujący i uprzejmy jak zawsze, łączył najściślejszą grzeczność z ową odwagą rycerską, którą wielekroć okazał świetnie, a we dwa lata później przyplacił życiem na równinach Abrahama. Dunkan odwróciwszy oczy od dzikiej i nikczemnej fizyonomii Magui, z roskoszą ujrzał najzupełniejszą przeciwność w szlachetnej i żołnierskiej twarzy, w miłym spójrzeniu i wdzięcznym uśmiechu markiza francuzkiego.

— Bardzo rad jestem, — rzecze Montkalm, — że pana... Ale, gdzież jest ten tłumacz!

— Może obejdziemy się bez niego, — skro-



mnie odpowiedział Hejward; — ja mówię trochę po francuzku.

— Ah! cieszy mię to niezmiernie, — zawołał markiz i poufale wzięwszy Dunkana pod rękę, odprowadził w głąb namiotu, gdzie mogli rozmawiać nie słyszani od innych. — Nienawidzę ja tych tłumaczy, — mówił dalej; — nigdy nie można być pewnym, że wiernie oddają co się im powie. To tak tedy, szanowny panie, miałbym sobie za zaszczyt widzieć się osobiście z walecznym komendantem pańskim; ale jestem przynajmniej szczęśliwy, że oglądam na jego miejscu oficera, tak dostojnego jak pan jesteś, i tak przyjemnego jak mi się wydajesz.

Dunkan ukłonił się, bo chociaż miał mocne postanowienie, mimo wszystkie grzeczności lub podstępny jenerała francuzkiego, nie zapominać o tém, co powinien był uczynić dla swojego monarchy; komplement ten jednak nie obraził jego. Po chwili milczenia i namysłu, Montkalm odezwał się znówu:

— Komendant pański jest pełen odwagi, nikt lepiej nad niego nie potrafi opierać się szturmowi; ale tak długo idąc za natchnieniem męztwa, czy nie czas byłoby już usłuchać głosu ludzkości? Równie jedno jak drugie zaleca bohatera.

— My te dwie zalety uważamy za nierozdzielne, — odpowiedział Dulkan z uśmiechem; — lecz kiedy pan dajesz nam tyśiące pobudek do ubiegania się o pierwszą, nie widzimy jeszcze żadnej szczególnej przyczyny do okazania drugiej.

Montkalm ukłonił się także, ale z miłą człowieka nie tak mało wyćwiczonego żeby pochlebne słowa mogły go utudzić; i dodał:

— Może też moje lunety źle pokazują i mury państwa lepiej oparły się naszej artylerji niżelim mniemał. Pan wiesz zapewne, jaka jest siła nasza?

— Różne w tym względzie mamy doniesienia, — odpowiedział Hejward niedbale; —

jak miarkujemy jednak, najwięcej dwadzieścia tysięcy.

Francuz przygryzł sobie usta i wlepił w majora wzrok przenikliwy, a potem jakby uznając ten rachunek za rzetelny, chociaż znał to bardzo dobrze, że i sam Hejward myślał inaczej, dodał z obojętnością doskonałe udaną.

— Przykro to jest żołnierzowi, zacny panie, ale muszę wyznać, że mimo wszelką usilność, nie zdołaliśmy ukryć naszej liczby. Gdybyśmy jednak tego dowodzili, to chyba w tych lasach. Ponieważ zaś pan myślisz że jeszcze nie czas słuchać głosu ludzkości, — mówił dalej uśmiechając się; — śmiem mieć przynajmniej, że jako młody oficer, nie zapomnisz o względach dla poci pięknej. Córki komendanta, jakem się dowiedział, weszły do twierdzy już po jej opasaniu.

— Prawda, — odpowiedział Hejward; — lecz to bynajmniej nie osłabiło naszego postanowienia; owszem przykład ich odwagi

bardziej nas umocnił. Gdyby tylko jednego męztwa trzeba było do odparcia nieprzyjaciela, choćby nawet tak utalentowanego jak Pan Montkalm, chętniebym starszej z nich powierzył obronę William Henryka.

— Mamy w naszych prawach mądrą ustawę, że korona Francyi nigdy na kądziel spaść nie może, — odpowiedział Montkalm sucho i nieco dumnie; ale wnet przyjąwszy znowu swoją minę uprzejmą, dodał:— Z resztą, ponieważ wszystkie wielkie przymioty najczęściej są dziedziczne, tém bardziej temu wierzę. Jednak to nie daje powodu zapominać że, jak mówiłem panu, samo nawet męztwo powinno mieć granice i że czas już usłuchać głosu ludzkości. Zapewne pan jesteś upoważniony do ułożenia warunków kapitulacyi ?

— Czy pan jenerał widzi tak słabą obronę z naszej strony, że ten krok uważa za jedyny dla nas?

— Nie chciałbym żeby dłuższa obrona roz-

trzyła moich przyjaciół czerwonych,— rze-  
cze Montkalm, zostawując bez odpowiedzi u-  
czynione pytanie i rzucając wzrok na gro-  
madę Indian, którzy chociaż nie mogli sły-  
szyć rozmowy, pilną jednak zwracali na nią  
uwagę; — i tak już dosyć mi trudno skłaniać  
ich do szanowania zwyczajów, przyjętych  
w wojnach narodów cywilizowanych.

Hejward przypomniawszy niebezpieczeń-  
stwa i cierpienia, jakich z towarzyszkami  
podróży wśród tych barbarzyńców doświad-  
czył, zamyślił się i milczał.

— Ci ichmość, — mówił dalej Montkalm  
sądząc że otrzymał przewagę i chcąc z niej  
korzystać, — są straszni kiedy się rozgnie-  
wają, a wiadomo panu jak nie łatwo ich  
gniew pohamować. No cóż, będziemy mó-  
wili o warunkach kapitulacyi?

— Mnie się zdaje, że Pan jenerał nie do-  
syć znasz moc naszej twierdzy i siłę jej  
załogi.

— William Henryk, nie jest to Kwebek.

TOM II.

<http://rcin.org.pl> 19



Ja wiem, że oblegam wały sypane z ziemi i bronione przez dwa tysiące trzysta ludzi, chociaż i nieprzyjaciel waleczność przyznać im musi.

— Prawda, nasze wały tylko sypane z ziemi nie mają za podstawę skały Dyaamentu; ale brzeg na którym stoją, był nieszczęsny dla Disko i jego wojsk walecznych. Nie raczysz pan przy tém zająć w swój rachunek znacznej siły, którą mamy o kilka godzin drogi i możemy uważać za częśćkę naszej obrony.

— Tak jest, — odpowiedział Montkalm najobojętniej, — sześć do ośmiu tysięcy żołnierzy, których wódz ostróżny woli trzymać w okopach niż wyprowadzić w pole.

Teraz dopiero Hejward musiał przygryść sobie usta, kiedy markiz przypuszczając nawet liczbę daleko większą od istotnej, mówił o niej tak niedbale. Obadwa zamilkli na chwilę, a potem Montkalm odezwał się znowu dając do zrozumienia, iż nie sądzi

aby oficer angielski przybył do niego w innym zamiarze, jak tylko dla układów względem podania się twierdzy. Major ze swojej strony usiłował tak rzecz naprowadzić, żeby generał francuzki uczynił jakąkolwiek wzmiankę o przejętym liście; lecz ani jeden ani drugi niemógł dokazać swego. Po długiej i próżnej rozmowie, Duncan nakoniec wyszedł, dobrze uprzedzony o talencie i grzeczności dowodzczy wojsk nieprzyjacielskich, ale o tém, czego się chciał dowiedzieć, nie uwiadomiony bynajmniej.

Montkalm przeprowadził go do drzwi swojego namiotu i zobowiązał powtórnie prosić komendanta twierdzy, żeby raczył, jak można najrychlej, widzieć się z nim na placu dzielącym wojska stron obu. Tu się pożegnali; ten sam oficer co wprzód towarzyszył majorowi, odwiódł go na powrót. Hejward wszedłszy do warowni, udał się prosto do pólkownika.

## R O Z D Z I A Ł VII.

„Nim wyjdiesz na plac bitwy, chciej ten list  
przeczytać! “

*Szekspir (Król Lear).*

**M**UNRO był w swoim pokoju z córkami tylko, kiedy wszedł major. Alina siedziała na kolanach u ojca i delikatnymi paluszkami swemi rozdzielała jego siwe włosy spadające w nieładzie. Na to dzieciństwo stary żołnierz brwi zmarszczył; ale ona wnet wypogodziła jego czoło przyciskając swoje usteczka różowe. Kora zawsze cicha i poważna siedząc przy nich, patrzyła na te pieczyoty niewinności, z tym wyrazem matczynego przywiązania, jaki zawsze piętnował jej miłość ku siostrze.

Wśród czystych i spokojnych uciech rodzinnego towarzystwa, obie siostry zapomniały niejakoś na moment nie tylko o przygodach doświadczonych w lasach, ale nawet o niebezpieczeństwach grożących jeszcze w twierdzy oblężonej przemożnie. Mógłby kto powiedzieć, że starając się korzystać z krótkiego zawieszenia broni, śpieszyły wylewać uczucia najtkliwsze. A kiedy tak córki wszelką bojaźń odkładały na stronę, stary wojownik też, chwilę pokoju i wypoczynku chciał wyłącznie poświęcić wzruszeniom miłości ojcowskiej.

Dunkan śpiesząc zdać sprawę ze swojego poselstwa, wszedł bez oznajmienia, ale postrzegłszy obraz tyle mający dla niego powabu zatrzymał się u drzwi, żeby go nie stracić. Nie długo jednak mógł być tajemnym świadkiem; bystre oko Aliny postrzegło go w zwierciadle, na przeciw niej wiszącym.

— Major Hejward! — zawołała zeskakując z kolan ojcowskich.

— I cóż? co miałaś powiedzieć o nim? — zapytał Munro, nie zmieniając swojej postawy. — On teraz szpaczkuje z markizem w obozie francuzkim, dokąd go posłałem. Ach! jużes powrócił majorze, — mówił dalej, skoro się Dunkan zbliżył; — jesteś młody, a zatém prędki. No dzieci, idźcie sobie! Co tam jeszcze? Czy wam się zdaje, że na odurzenie głowy żołnierza nie dość jest rzeczy, bez waszego paplania?

Kora już była odeszła, Alina pobiegła za nią z uśmiechem na ustach.

Munro zamiast tego co by miał pytać majora o skutku poselstwa, przechodził się długo z rękoma w tył założonemi i z głową spuszczoną na piersi, jak gdyby coś rozmyślał głęboko, a po tém podnosząc na Dunkana oczy jaśniejące miłością ojcowską, zawołał:

— Wyborne córki, Hejwardzie! Któżby będąc ich ojcem, nie pysznił się z tego.

— Mnie się zdaje, że P. Półkownik wie już wszystko, co myślę o nich.



— Wiem, wiem i pamiętam że w dzień waszego przybycia do twierdzy zacząłeś być otwierać się przede mną z twojami uczuciami w sposób bynajmniej nie przeciwny mej woli, ale przerwałem ci jedynie dla tego, iż uważałem za rzecz nieprzyzwoitą staremu żołnierzowi, myśleć o ślubowinach i uciechach, kiedy nieprzyjaciele jego króla nieproszeni mogliby zawitać na wesele. Z tem wszystkiem postąpiłem podobno niesłusznie, Dunkanie. Tak jest, niesłusznie, i za to gotów jestem teraz wysłuchać co masz powiedzieć.

— Jakkolwiek to miłe zapewnienie, wielką czyni mi przyjemność; uważam jednak sobie za powinność donieść wprzód panu co markiz . . . .

— Niech go djabli tego francuza i z całym jego wojskiem!—zawołał weteran marszcząc brwi.--Montkalm nie ma jeszcze w ręku William Henryka, i nigdy mieć nie będzie; jeżeli Web postąpi jak powinien. Nie, mój panie,

nie; nie jesteśmy jeszcze przywiedzeni do tak ciężkiej ostateczności, żeby Munro nie mógł chwili pomyśleć o swoich interesach domowych, o swojej rodzinie. Twoja matka Hejwardzie, była córką największego przyjaciela mojego; muszę cię wysłuchać niezwłocznie, chociażby wszyscy kawalerowie orderu S. Ludwika i ze swoim świętym stali u furtki prosząc mię o minutę posłuchania. Sliczny to order, dalibóg, co można kupić za parę beczek cukru! A ichże markizostwo trzygroszowe? Sta takich można by narobić w Lotianie. Order ostu, jeżeli chcesz mówić o orderach, to mito znak starożytny i dostojny; prawdziwy *nemo me impune lacessit* (\*). Ty miałeś przodków nim zaszczyconych, Dunkanie: byli oni ozdobą szlachty szkockiej.

Hejward widział że jego naczelnik szu-

---

(\*) Szkocki order ostu ma napis *nikt mię bezkarnie nie dotknie*.

kał złośliwej przyjemności w okazywaniu wzgardy dla Francuzów i dla ich naczelnika, a wiedząc iż Munro wkrótce zmieni swój humor i sam wróci do napomknionego przedmiotu, nie odzywał się już więcej ze swoim poselstwem i zaczął mówić o tém, co go daleko bardziej obchodziło.

— Dałem już podobno poznać panu, iż chciałbym być zaszczycony imieniem jego syna.

— Tak jest; nie chciałem być tyle niewyrozumiałym, żebym tego nie poznał; ale czy równie jasno mówisz o tém mojej córce?

— Na honor, uważałbym to za nadużycie ufności, jaką pan we mnie położyć raczyłeś, gdybym w podobnym razie oświadczył jej moje życzenia.

— To z twojej strony bardzo uczciwie, Hejwardzie; i zapewne powinienem pochwalić tę delikatność: ale Kora tak roztropna, tak uważna dziewczyna, ma duszę

tak wzniosłą, iż niepotrzebuje aby ojciec mieszał się do jej wyboru.

— Kora!

— Tak jest, Kora! O czém że mówimy, majorze? Czyliż nie o tém, że chciałbyś ją zaślubić?

— Ja... ja... zdaje się... nie wspomniałem jej imienia, — wybęknął zakłopotany młodzieniec.

— O czyjąż rękę więc mię prosisz, jeżeli nie o rękę mojej córki? — zapytał weteran prostując się z miną nieukontentowania i obrażonej godności.

— Wszakże pan masz drugą, niemniej przyjemną, niemniej godną kochania córkę, — odpowiedział Hejward.

— Aline! — wykrzyknął Munro z równem zadziwieniem, jak wprzód Dulkan powtarzając imię Kory.

— Ona to właśnie, jest celem wszystkich mych życzeń.

Oświadczenie to widocznie niespodziewa-

ne, nadzwyczajny sprawiło skutek. Młodzieniec w milczeniu czekał odpowiedzi, a stary pólkownik jakby wzruszony gwałtownie i w przykrych pogrążony myślach, wielkim krokiem przebiegał pokoj. Po kilku minutach nakoniec Munro zatrzymał się przed Hejwardem, spojrzął mu oko w oko, i zmuszając do mówienia drżące swe usta, odezwał się mocnym głosem:

— Dunkanie Hejwardzie, kochałem cię przez miłość ku temu, czyją krew masz w swych żyłach. Kochałem cię przez wzgląd na twoje własne przymioty. Kochałem cię z przekonania, że będziesz mógł moją córkę uszczęśliwić; ale przychylność ta zmieniłaby się w nienawiść, gdybym był pewny że tak jest w istocie, jak myślę!

— Niech mię Bóg strzeże, żebym miał cokolwiek uczynić, powiedzieć, lub pomyśleć, coby mogło tak okrótną zmianę sprawić! — zawołał Hejward śmiałym okiem wytrzymując wlepiony i przenikliwy wzrok



naczelnika. Munro postrzegłszy na twarzy młodzieńca samą otwartość i szczerotę, zmiękczył się bez względu, że ten nie mógł jeszcze znać uczuć skrytych w głębi jego serca, i przemówił łagodniej:

— Życzysz sobie być moim synem, Dunkanie, a nie wiesz jeszcze historyi tego, kogo chcesz ojcem nazywać. Siadaj; otworzę tobie, ile możliwości pokrótce, niezasklepione jeszcze rany mojego serca.

Poselstwo Montkalma poszło teraz zupełnie na stronę, i równie ten, co je przyniósł, jak ten do kogo było przeznaczone, zapomnieli o nióm. Obadwa wzięli krzesła i kiedy starzec w milczeniu zbierał myślą smutne, jak się zdawało, pamiątki; młody major tymczasem uśmierzywszy swą niecierpliwość, przybrał pełną uwagi i uszanowania postawę. Munro nakoniec zaczął opowiadać.

— Wiesz już, majorze Hejwardzie, — rzecze Szkot, — że pochodzę z dawnej i do-

stojnej familii, chociaż hojność losu nie-  
odpowiadała jej szlachetności. Byłem prawie  
lat twoich, kiedym przyrzekł wierność do-  
zgonną Alinie Graham, córce sąsiadujące-  
go z nami lairda, właściciela dóbr znacznych;  
lecz rozmaite przyczyny, może też i ubó-  
stwo moje, były powodem, że ojciec jej nie  
chciał na nasz związek zezwolić. Uczyni-  
łem tedy, coby każdy uczciwy człowiek u-  
czynił: uwolniłem Alinę od danego mi sło-  
wa, i zaciągnąwszy się do wojska opuści-  
łem Szkocyą. Wiele widziałem krain, w wie-  
lu miejscach lała się krew moja; nakoniec  
powinność przeniosła mię na wyspy Indyów  
zachodnich: tam przypadkiem poznałem je-  
dnę kobietę, a z czasem zostałem jej mężem  
i ojcem Kory. Była ona córką człowieka  
dobrego urodzenia, ale jej matka, nieszczę-  
ściem, jeżeli tak mam mówić przed WPa-  
nem; — dodał starzec z uczuciem dumy, nie-  
szczęściem pochodziła, chociaż w dalekim  
stopniu od tej klasy, którą po barbarzyńsku

starają się utrzymywać w upadającym niewolnictwie, dla dogodzenia zbytkom narodów cywilizowanych. Tak jest, mój panie, i przeklęctwo za to spadło nawet na Szkocję, z powodu przeciwnego naturze jej połączenia z obcą ziemią i z narodem handlarzy. Lecz gdyby między nimi znalazł się taki, coby śmiał mi wzgardliwie wspomnieć o urodzeniu mej córki, na honor, uczułby on cały ciężar ojcowskiego gniewu! Ale i ty majorze jesteś rodem z osad południowych, gdzie te istoty nieszczęśliwe i wszyscy ich potomkowie, uważają się za plemię ludzi niższe od was.

— Na nieszczęście to prawda, — rzecze Dulkan z takim pomieszaniem, iż musiał spuścić oczy.

— I uważasz to za słuszny zarzut przeciw mojej córce! — zawołał ojciec tonem, w którym obok boleści i gniewu przebiegała się uszczypliwość i gorycz; — jakkolwiek ona jest powabna, jakkolwiek cnotliwa, czujesz

wstręt połączyć krew Hejwardów z krwią tak niską, tak pogardzoną?

— Niech mię Bóg broni od tak nierozsądnego, tak nikczemnego przesądu! — odpowiedział Hejward; chociaż głos wewnętrzny mówił mu tajemnie, że ten przesąd, owoc wychowania, tak głęboko tkwił w jego sercu, jak gdyby go tam samo przyrodzenie zaszczerpiło: — łagodność, szczerłość, wdzięki i wesołość młodszej córki pańskiej, mogą bez posądzenia mię o niesłuszność usprawiedliwić mój wybór.

— Prawdę mówisz majorze, — rzecze starszec znowu łagodniejszym głosem, — jest ona żywym obrazem tego, czem była jej matka, póki niedoznała cierpień. Po śmierci mojej żony, zbogacony jej posagiem, wróciłem do Szkocyi, i czy dasz temu wiary, Dunkanie? znalazłem anielską istotę, przedmiot pierwszej mej miłości, jedynie z przywiązania ku niewdzięcznikowi, co mógł zapomnieć o niej, od lat dwudziestu wiedz-

niejącą w bezżenstwie; więcej jeszcze: przebaczyła mi wiarołomstwo, a będąc już panią swojej woli, oddała mi rękę...

— I została matką Aliny! — podchwycił Hejward z pośpiechem, który mógłby niebezpiecznym być dla niego, gdyby stary pólkownik w tej chwili mniej był oddany wspomnieniom bolesnym.

— Tak jest, — odpowiedział Munro, — i ten drogi upominek dla mnie opłaciła życiem; ale pewno, jest ona świętą w niebie; nie przystoi człowiekowi stojącemu nad grobem szemrzeć na los tak pożądanym. Rok tylko żyła ze mną... krótki przeciąg szczęścia dla kobiety, która całą młodość w udręczeniu przepędziła.

Munro zamilkł, a jego smutek niemy tak był poważny i uroczysty, że Hejward nie śmiał jednego słowa wymówić. Starzec jakby zapomniał że miał świadka: wzruszenia jego twarzy malowały boleść głęboką, i bujne łzy skropiły mu policzki.



Nakoniec odzyskał władzę nad sobą, zerwał się z krzesła i przeszedłszy się po pokoju jakby dla uśmierzenia wzburzonych uczuć, zbliżył się do Hejwarda z miną pełną powagi i godności.

— Masz podobno majorze, — rzecze, — powiedzieć mi coś od markiza Montkalma?

Duncan zadrżał na to pytanie, bo poselstwo zupełnie mu wyleciało z głowy; lecz natychmiast zebrawszy myśli, chociaż z lekkim pomieszaniem zaczął zdawać sprawę przed naczelnikiem. Nie widzimy potrzeby rozwodzić się nad tém, jak zręcznie, a razem grzecznie jenerał francuzki potrafił zbyć Hejwarda, i również grzecznie, lecz niewątpliwie dał mu do zrozumienia, że jeżeli komendant William Henryka, chce dowiedzieć się o powodach zagajonego poselstwa, niech albo sam wyjdzie na oznaczone miejsce, albo postanowi obejść się bez tego.

Kiedy major powtarzał swoje rozmowę

z wodem nieprzyjacielskim, wzruszenia przez miłość ojcowską obudzone w półkowniku, nieznacznie ustępowały miejsca uczuciom żołnierza, i nim Dulkan skończył mówić, już znikł ojciec, a tylko został przed nim oburzony i gniewny komendant twierdzy William Henryka.

— Z tego co mi nagadałeś majorze, można by zrobić cały foliał uwag nad grzecznością francuzką,— odezwał się starzec tonem pokazującym ile go dotknął postępek markiza. — Widzisz go jaki jegomość! wzywa mię dla pomówienia, a kiedy posyłam zastępcę, ze wszech miar zdolnego, bo mimo twą młodość takim jesteś Dulkanie, on nie chce się objaśnić i każe mi wszystko zgadywać!

— Może on o tym zastępcy nie ma tak dobrego rozumienia, jakie pan mieć raczysz,— rzecze major z uśmiechem.— Z resztą wezwanie to, które obowiązany jestem powtórzyć panu, ściąga się do głównego komen-

danta, nie zaś podwładnego oficera załogi.

— Dobrze, mój panie, — odpowiedział Munro, — ale czyliż zastępca nie ma władzy i dostojności tego, czym jest reprezentantem? Chce mu się koniecznie mówić ze mną samym. Dalibóg bierze mię ochota, załość mu uczynić, chociażby dla tego tylko żeby mimo liczbę jego wojska i usilność namowy, pokazać niestrwożoną postawę naszą. Byłby to krok polityki niezgorszy podobno, majorze?

Duncan uważając za rzecz największej wagi dowiedzieć się czém prędzej, co zawierał list niesiony przez strzelca, chwycił się tej myśli.

— Nic pewniejszego — rzecze, — obojętność i spokojność nasza, wcale nie dodałaby mu zaufania.

— Nigdy większej prawdy powiedzieć nie mogłeś. Chciałbym żeby on wśród dnia, i to szturmując przyszedł obejrzyć naszą

twierdzą, co lepiej daje poznać, czy nieprzyjaciel umie stawić czoło, i co wolałbym niż jego terażniejszy sposób bombardowania. Ten wasz Pan Woban przez swoją praktykę nowomodną, zniszczył zupełnie piękność sztuki wojennej. Przodkowie nasi gardzili tym scjentyficzném tchórzostwem.

— Może to być prawda; ale jesteśmy teraz zmuszeni opierać się tą samą bronią, jakiej przeciw nam używają. Co pan myślisz względem wezwania Montkalma?

— Obaczę się z panem Francuzem, obaczę się z nim bez bojaźni i zwłóki, jak przystało na wiernego sługę Jego Królewskiej Mości mojego Pana. Idź majorze Hejwardzie, kaź muzyce dać hasło i poszlij trębacza z oznajmieniem, że wyjdę spotkać markiza na oznaczonem miejscu. Ja zaraz udam się tam z orszakiem, bo cześć należy się temu, kto piastuje cześć swojego króla. Ale słuchaj Dunkanie, — dodał cichszymi głosem, chociaż prócz nich nie było więcej

nikogo, — nieszkodziłoby na przypadek jakiej zdrady mieć pomoc blisko.

Hejward rad z rozkazu, wyszedł natychmiast i pośpieszył czynić potrzebne urządzenia, ponieważ wieczor już się zbliżał. W kilka minut wyprawivszy do obozu Francuzów trębacza z chorągwią białą dla oznajmienia, że komendant twierdzy wkrótce przybędzie, wziął mały oddział żołnierzy zbrojnych i udał się z nimi do furtki, gdzie już Munro czekał na niego. Po zwyczajnych obrządkach wojskowych, stary pułkownik i młody jego towarzysz opatrzeni w konwoj wyszli za wały.

Zaledwo na pięćdziesiąt kroków oddalili się od wież swoich, z doliny, albo raczej wąwozu ciągnącego się wzdłuż płaszczyzny między twierdzą a bateriami wojsk nieprzyjacielskich, ukazał się niewielki orszak generała francuzkiego. Munro idąc na spotkanie przeciwnika, przybrał zimną postawę i mierzony krok żołnierza, lecz skoro



postrzegł białe pióra pływające nad kapeluszem Montkalma, zaiskrzyły się mu oczy i odrodził się w nim ogień lat młodych.

— Powiedz naszym, majorze, — rzecze z cicha do Dunkana, — niech się mają na baczności i będą gotowi za pierwszym znakiem użyć broni, bo co można wierzyć tym Francuzom? Tymczasem nie pokazujmy przed nimi najmniejszej trwogi. Rozumiesz mię, Hejwardzie?

Turkot bębnow francuzkich, nie pozwolił mu mówić dłużej; kazał na to hasło odpowiedzieć podobnie; obie strony wystąpiły po jednym oficerze z chorągwią białą, i ostróżny Szkot zatrzymał się na miejscu. Montkalm w postawie pełnej wdzięku zbliżył się do grona nieprzyjaciół i starego ich wodza powitał, zdjęty kapelusz spuszczać tak nisko, że aż kita dotknęła się ziemi. Powierzchność Munra mogła być bardziej męzka i wspaniała; ale brakowało mu ukształcenia i ujmującej grzeczności jene-

nerała francuzkiego. Obadwa przez niejakieś czas w milczeniu z ciekawością przypatrywali się jeden drugiemu, nakoniec Montkalm odezwał się pierwszy, jak tego wymagał wyższy jego stopień i przedmiot zobopólnego ich przybycia.

Zrobiwszy grzeczność Munrowi, a do Hejwarda uśmiechnąwszy się mile, jak do znajomego, przemówił do niego po francúzku:

— Cieszę się niezmiernie, że widzę tu pana; obecność pańska uwolni nas od pośrednictwa zwyczajnego tłumacza, bo jeśli raczysz zastąpić jego, tak będę pewnym, jak gdybym sam wprost mówił.

Dunkan na tę grzeczność odpowiedział tylko skłonieniem głowy, a Montkalm, obróciwszy się do swoich żołnierzy, którzy na wzór angielskich uszykowali się za swoim wodzem, rzekł dając znak ręką:

— Odstąpcie, dzieci; bardzo duszno, odstąpcie trochę.

Hejward nim wzajemnie dał ten dowód

ufności, rzucił okiem w koło równiny i nie bez strwożenia się postrzegł pod lasem liczne gromady dzikich, ciekawie przypatrujących się rozmowie naczelników.

— Pan Montkalm łatwo uzna różnicę naszego położenia, — rzecze z niejakiemś pomięszaniem wskazując mu hordy sprzymierzeńców jego. — Oddalając nasz konwoj zdalibyśmy się na łaskę najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół.

— Mój panie, — rzecze Montkalm dobitnie, i kładąc rękę na sercu; — zaręczam pana słowem honoru szlachcica francuzkiego, zdaje się że tego dosyć.

— Aż nadto dosyć, — odpowiedział Dunkan, a potem odwróciwszy się do oficera dowodzącego konwojem, dodał: — Proszę cofnąć się, żebyśmy mogli rozmawiać niestyśzani, i czekać dalszych rozkazów.

Ponieważ cała ta rozmowa odbywała się po francuzku, Munro nie rozumiał ani słó-

wa, i z widoczną niechęcią patrząc na oddalanie się swoich żołnierzy, natychmiast zapytał o przyczynę.

— Czyliż nie jest naszym interesem, nie okazywać najmniejszej nieufności? — odpowiedział Hejward. — Pan Montkalm honorem swoim zaręcza nam bezpieczeństwo, i dla okazania że polegamy na jego słowie, kazałem im oddalić się trochę.

— Możesz mieć słuszność, majorze; ale ja nie bardzo ufam tym wszystkim panom markizom, jak oni tytułują siebie. Dyplomata szlactwa tak są spopolitowane w ich kraju, iż niekoniecznie wyobrażenie honoru łączyć z niemi można.

— Zapominasz pan, że mamy rzecz z oficerem, który równie w Europie jak w Ameryce tyle się odznaczył. Niepowinniśmy, zdaje się, lękać się człowieka, ze słusznie nabytej sławy znanego powszechnie.

Stary wódz dał znak iż przestaje na tém, lecz surowy wyraz jego twarzy nie zapowia-

dał najmniejszego ustąpienia nieufności, pochodzącej raczej z narodowej nienawiści ku Francuzom, niżeli z jakiegokolwiek zewnętrznej przyczyny. Montkalm cierpliwie czekał końca tej rozprawki, odbywającej się po angielsku, i z cicha, a potem zbliżywszy się do obu oficerów angielskich, zagaił rzecz w następny sposób.

— Życzyłem sobie widzieć się z naczelnikiem pańskim, — rzecze do Hejwarda, — w nadziei iż da się przekonać, że wszystko uczynił co honor królewski mógł wymagać po nim, a teraz zechce pojsdź za radą ludzkości: Nigdy nie przestanę oddawać mu świadectwa, że trzymał się najdzielniej i póty bronił twierdzy, póki tylko miał nadzieję pomyślnego końca obrony.

Skoro te słowa wytłumaczone zostały, Munro odpowiedział z godnością i dosyć grzecznie:

— Jakąkolwiek cenę przywiązuję do tego świadectwa pana Montkalma; zawsze będzie



mi zaszczytniej kiedy więcej zasłużę na nie.

Montkalm z uśmiechem wysłuchał tłumaczenia tej odpowiedzi i zaraz dodał:

— Co się ofiaruje słusznie cenionemu mężtwu, to próżnej uporczywości odmówione być może. Czy nie zechce pan półkownik sam obejrzeć mojego obozu, policzyć wojska, i przekonać się o niepodobieństwie dłuższego odporu?

— Ja wiem że królowi francuzkiemu nie zbywa na żołnierzach, — odpowiedział Szkot nieugięty, skoro tylko Dunkan skończył mu tłumaczyć; — ale i mój monarcha ma niemniej waleczne, wierne i liczne wojska.

— Które na nieszczęście nie znajdują się tutaj; --zawołał uniesiony zapałem Montkalm, wprzód nim Dunkan odegrał rolę tłumacza. — Są w wojnie zrzędzenia losu, którym człowiek mężny, powinien umieć poddawać się tak odważnie, jak stawia czoło nieprzyjaciołom.

— Gdybym wiedział, że pan Montkalm tak dobrze umie po angielsku, nie zadawałbym sobie pracy ładajako tłumaczyć mojemu naczelnikowi słowa jego, — odezwał się Dunkan tonem wymówki, gdyż wnet przyszła mu na myśl rozmowa, (jaką przed chwilą prowadził z Munro.

— Przepraszam pana, — odpowiedział jenerał francuzki, — wcale co innego jest rozumieć słów kilka, a co innego mówić językiem jakim. Dla tego też będę prosił, żebyś pan był łaskaw dalej służyć mi za tłumacza. Te góry, — dodał po chwili milczenia, — dają nam zupełną sposobność przypatrzenia się warowni, i śmiem powiedzieć, że znam jej słabość tak dobrze jak państwo sami.

— Proszę zapytać jenerała, — rzecze Munro dumnie; — czy teleskopy jego sięgają aż za Hudson i czy nie widział wybierających się w pochod wojsk Weba.

— Niechaj jenerał Web sam na to py- .

tanie odpowie, — odparł markiz podając Munrowi list otworzony. — Pismo to przekona pana, że dla obrotów wojsk tych mogę być spokojny.

Stary wojownik nie czekając póki Hejward wytłumaczy mu co powiedziano, chwycił list z pośpiechem, pokazującym ile przywiązywał wagi do zawartej w nim treści; lecz zaledwo przebiegł go oczyma, zmieniła się cała twarz jego, usta drżeć zaczęły, upuścił z rąk papier i skłonił głowę na piersi.

Dunkan podjął list z ziemi i przejrzał go nie prosząc o pozwolenie, a pierwszy rzutek oka odkrył mu wiadomość okrutną. Wspólny ich naczelnik, generał Web, daleki od zagrzewania do wytrwałego oporu, w jasnych i najwyraźniejszych słowach, radził poddać się natychmiast, kładąc przyczynę iż ani jednego żołnierza w pomoc przysłać nie może.

— Nie masz tu ani pomyłki ani podstęp-

pu, — rzecze Hejward przeglądając list z nową uwagą: — pieczęć i podpis Weba; jest to list przejęty.

— Jestem więc opuszczony, zdradzony! — zawołał Munro z żalem. — Web chce okryć hańbą włos ten osiwiasty w dniach sławy; chce zlać wstyd na głowę, która nigdy splamiona nie była.

— Nie mów pan tak! — odezwał się Dunkan z zapałem; — mamy jeszcze w swoim ręku naszą twierdzę i nasz honor. Brońmy się do śmierci i tak drogo przedajmy życie, żeby nieprzyjaciół musiał wyznać, iż ten tryumf ciężko opłacił.

— Dziękuję ci młodzieńcze, — rzecze starzec wychodząc z niejakiegoś stanu osłupienia; — ty przypomniałeś teraz Munrowi jego powinność. Wracajmy do twierdzy i wykopmy sobie mogiły za wałami naszymi!

— Panowie, — rzecze Monkalm przystępując do nich z widocznym wzruszeniem i wspaniałością uprzejmą; — mało znacie Lu-

dwika de Sę Weran, jeżeli sądzicie że tego listu zechce użyć na poniżenie walecznych żołnierzy i zhańbienie samego siebie: Chciejcie przynajmniej przed odejściem wysłuchać, jakie wam podaję warunki kapitulacyi.

— Co tam gada ten Francuz? — zapytał weteran z pogardliwą wyniosłością. — Czy się chlubi z tego, że wziął w niewolą posłańca niosącego list z głównej kwatery? Powiedz mu majorze, że jeżeli chce swemi pogroźkami nieprzyjaciół przestraszyć, niech odstąpi od William Henryka, a idzie obledz twierdzę Edwarda.

Duncan wytłumaczył mu co mówił markiz.

— Gotowi jesteśmy słuchać co pan Montkalm nam powie, — rzecze Munro łagodniej.

— W żaden sposób państwo nie możecie utrzymać twierdzy, — odpowiedział jenerał francuzki; — a interes mojego króla wymaga, żeby ona była zniesiona. Lecz co do was samych, i walecznych towarzyszków wa-



szych, wszystko co żołnierzowi może być drogie, zostawione wam będzie.

— Chorągwie? — zapytał Hejward.

— Odniesiecie je do Anglii jako dowód żeście walecznie ich bronili.

— Oręż?

— Zostanie przy was. Nikt lepiej nim władać nie potrafi.

— A co do oddania twierdzy i naszego wyjścia?

— Wszystko uskuteczni się w sposób najzaszczytniejszy dla was i jak sami zechcecie.

Dunkan wytłumaczył te obietnice swemu naczelnikowi. Munro słuchał go z zadziwieniem widoczném, a potem żywo wzruszony tak nadspodziewanym postępkim wspaniałomyślności, zawołał:

— Idź z nim Dunkanie, idź i ułóż warunki poddania się twierdzy. Ten twój markiz prawdziwie godzien być markizem. Otoż dożyłem widzieć w starości dwie trudne do uwierzenia rzeczy. Anglik odma-

wia pomocy towarzyszowi broni; Francuz tak jest honorowy, że nie chce nadużywać odniesionych korzyści.

To rzekłszy, stary wojownik schylił znów głowę na piersi, ukłonił się markizowi i ze swoim orszakiem wrócił do twierdzy, gdzie sam widok smutnej i strapionej jego postawy uwiadomił załogę o niepomysłnym wypadku rozmowy z nieprzyjacielskim wodzem.

Duncan został dla opisanja warunków i aż dopiero w północ powrócił do warowni, a po krótkiej naradzie z półkownikiem, znów udał się do obozu Francuzów. Ogłoszono na ten czas publicznie, że wszystkie kroki nieprzyjazne ustają, ponieważ Munro podpisał kapitulacyą, na mocy której, twierdza dnia następnego rano, ma być oddana nieprzyjaciołóm, a załoga wyjdź z chorągwiami, bronią i bagażami, a zatem podług wyobrażenia wojskowego, z całym swoim honorem.

---

 ROZDZIAŁ VIII.
 

---

„Cały łańcuch sztucznie z ogniw się składa.“

*Gray.*

**W**OJSKA nieprzyjazne obozujące w pustyniach nad Horykanem, przepędziły noc 9 sierpnia r. 1757 prawie tak samo, jak gdyby znajdowały się na najpiękniejszym polu europejskiej bitwy: zwyciężeni w smutku i troskach; zwycięzcy w radości i tryumfie. Ale równie smutek jak radość ma swoje granice: sen rozciągający się z cieniami nocy, powoli uśmierzał wszystko; wkrótce głuchą ciszę ogromnych lasów przerywał tylko gdzie niegdzie głos młodego Francuza, na przednich strażach niedbale nucącego piosnkę, albo groźny krzyk *Kto idzie!*

Anglika zazdrośnie strzegącego wałów do ostatniej chwili oddania twierdzy; nakoniec przysłała uroczysta godzina poprzedniczka zorzy, i żaden już znak nie objawiał, że tak wielka liczba ludzi zbrojnych oddycha na brzegach świętego jeziora.

W tej to godzinie najgłębszego milczenia, płótno zasłaniające wchód do największego namiotu Francuzów, uchyliło się zlekka, i ktoś uwinięty w płaszcz obszerny, wyszedł bez szmeru. Odzież ta miała zapewne tylko chronić go od wilgoci przenikliwej w lasach, lecz razem ukrywała całą jego osobę. Grenadyer stojący na straży u namiotu jenerała francuzkiego przepuścił go bez oporu i sprezentował mu broń ze zwyczajnem uszanowaniem wojskowem. Nieznajomy, krokiem lekkim poszedł przez miasto namiotów ku twierdzy William Henryka. Ilekroć zdarzyło mu się pomijać którego z licznych sztyldwachów, czuwających nad bezpieczeństwem obozu, na zwykłe ich py-

tania odpowiadał krótko i zapewne dostatecznie, bo żaden nie zatrzymywał go w drodze.

Prócz tych częstych spotkań, nie nie przerywało jego milczącej przechadzki, od środka aż do przednich straży obozu. Nakoniec już i żołnierz stojący na punkcie najbliższym nieprzyjaciół, zawołał:

— Kto idzie?

— Swój.

— Hasło?

— Zwycięstwo, — szepnęła osoba tajemnicza, przystąpiwszy do niego tak blisko, żeby mógł usłyszeć.

— Dobrze, — odpowiedział żołnierz zarzucając znowu karabin na ramię; — ależ bardzo rano przechodzisz się mój panie.

— Trzeba być czujnym, moje dziecię.

W tém odsłoniła się jedna poła szerokiego płaszcza, nieznajomy przykrył ją szybko i poszedł ku warowni angielskiej, a zdumiony sztyldwach nie mniej szybko z najgłęb-



szém uszanowaniem oddawszy mu cześć żołnierską, przemówił z cicha sam do siebie:

— To prawda, dalibóg, trzeba bydzć czujnym, bo jak widzę mamy takiego kaprała, co nie śpi nigdy.

Oficer nie słyszał, albo udał że nie słyszał tego, szedł dalej i nie wprzód zatrzymał się aż stanąwszy na piaszczystym brzegu jeziora, prawie pod samą basztą zachodnią. Kilka obłoczków ciągnęło się w powietrzu i gdy jeden z nich zasłonił tarczę księżyca, przyémione światło ledwo z trudnością pozwalało rozróżniać przedmioty. Ostróżny przychodziń skrył się za grubym drzewem i oparty o nie, przypatrywał się pogrążonej w ciszy warowni William Henryka. Nie obojętna ciekawość jednak wodziła jego oczy: z pilną uwagą śledził gdzie są miejsca mocne lub słabe, a nawet nieufność jakaś wydawała się w jego spojrzeniach. Zaspokojony nakoniec swojem badaniem, odwrócił się ku wschodowi, z poru-

szeniem niecierpliwości rzucił wzrok na góry, jak gdyby gniewał się że te zbyt długo kryły pożądaną mu jutrzeńkę, i chciał odejść, lecz cichy szelest w narożnej wieży zmienił jego zamiar.

Jakiś człowiek ukazał się na wale, wzajemnie chwil kilka przypatrywał się obozowi Francuzów, a potem podobnie rzuciwszy spojrzenie w stronę wschodnią, jak gdyby żądał lub lękał się świtu, zwrócił oczy na rozległą płaszczyznę jeziora, naksztalt drugiego sklepienia niebios w miliony gwiazd przybraną. Jego postać wysoka, jego melancholiczne zadumanie, godzina i miejsce jego przechadzki, to wszystko wspierało domysł, że był komendantem twierdzy.

Delikatność i ostrożność radziła ukrytemu widzowi oddalić się niezwłocznie; przesunął się więc na drugą stronę drzewa, żeby mógł odejść nie będąc widzianym; ale wtem znouwu jakiś szelest zatrzymał go powtórnie. Szelest ten był podobny do pluskania

wody, lecz razem różny od łoskotu fali, i w tymże czasie dawał się słyszeć stuk czoł-  
łen uderzających się jedno o drugie. Po  
chwili, ciemna postać Indyanina zwolna pod-  
niosłszy się nad wodą, cicho wystąpiła na  
brzeg, zbliżyła się do tego samego drzewa,  
i wnet oficer postrzegł koniec strzelby skie-  
rowany ku baszcie, a nim dziki zdolał wy-  
strzelić, już ręka jego była na zamku.

Indyanin tak niespodziewanym sposobem  
zawiedziony w swoim podłym i zdradzieckim  
zamiarze, wydał głos podziwienia. Oficer  
nie mówiąc wziął go za ramię i odpro-  
wadził z miejsca, gdzie rozmowa mogłaby dla  
obu być niebezpieczną. Kiedy już byli do-  
syć daleko, rozstąpił płaszcz, pokazał swój  
mundur z krzyżem Świętego Ludwika na  
piersiach i dawszy się poznać dzikiemu że  
był Montkalmem, rzekł do niego surowie:

— Co to miało znaczyć? Mój syn czy nie  
wie, że jego ojcowie Kanadyjscy zakopali sie-  
kierę wojny z Anglikami?

— Cóż więc pozostaje czynić Huronom?—  
odpowiedział Indianin złą francuszczyzną:—  
żaden ich wojownik ani jednych włosów na  
pokazanie nie ma, a twarze blade zawierają  
przyjaźń między sobą.

— Ach, to Lis Chytry! Skądże ten zby-  
tek gorliwości w przyjacielu, co tak nie-  
dawno był nieprzyjacielem naszym! Wiele  
słońce zaszło od czasu jak Lis trzymał się an-  
gielskiego słupa wojny?

— Gdzie jest teraz słońce? Za górami,  
czarne i zimne; ale kiedy powróci będzie  
światłe i gorące: Lis Chytry jest słońcem  
swojego pokolenia. Wiele gór i obłoków  
było między nim a jego narodem; ale teraz  
świeci i na niebie chmur nie masz.

— Ja bardzo dobrze widzę, że Lis jak  
chee włada swoimi braćmi, bo wczoraj ob-  
dzierał im głowy, a dziś słuchają go przy  
ognisku rady.

— Magua wielki wódz.

— Niechże on tego dowiedzie dając przy-

kład swojemu narodowi dobrego postępowania z nowymi przyjaciółmi naszymi.

— Na co wódz Kanadyjskich ojców naszych, młodych wojowników swoich przyprowadził w te lasy? Na co kazał armatom strzelać do tego domu z ziemi?

— Żeby go wziąć. Kraj ten należy do mojego pana i kazał on waszym ojcom Kanadyjskim wypędzić z niego Anglików. Oni zgodzili się ustąpić, i teraz nie uważa już ich za nieprzyjaciół.

— Dobrze; a Magua na to odkopał siekierę, żeby ją w krwi zbroczyć. Teraz ona światła, a jak będzie czerwona, zgodzi się znowu ją zakopać.

— Ale Magua nie powinien plamić krwią białej lilii francuzkiej. Nieprzyjaciele wielkiego króla panującego za jeziorem wód słonych, powinni być nieprzyjaciółmi Huronów; a przyjaciele przyjaciółmi.

— Przyjaciółmi! — powtórzył Indyanin



z gorzkim uśmiechem;— niech ojciec Magui, pozwoli jemu swojej ręki.

Moutkalm wiedząc że dla utrzymania wziętości jaką miał u narodów dzikich, więcej trzeba było ulegać niż używać władzy, podał mu rękę chociaż ze wstrętem. Magua chwycił ją i przyłożywszy palec jenerała do głębokiej blizny w środku swoich piersi, zapytał tonem tryumfującym:

—Czy mój ojciec poznaje co to jest takiego?

— Któryżby wojownik tego nie poznał? Jest to znak od ołowianej kuli.

— A to?— rzekł potem Indyanin pokazując mu nagie swe plecy; gdyż procz pasa i morkasinów nie miał innej odzieży.

—To? Któż to tak nielitościwie skrzywdził mojego syna?

— Magua miał bardzo twardą pościel w wigwamach Anglików, i od niej te znaki.

Dziki znowu uśmiechnął się gorzko, lecz uśmiech ten nie skrył zajadłości barbarzyńskiej. Nakoniec pohamowawszy wzruszenie,

przybrał ponurą godność wodza Indyjskiego i dodał:

— Idź, powiedz młodym wojownikom swoim że mają pokój! Lis Chytry wie co Huronom powiedzieć.

Nie racząc rozmawiać dłużej, ani czekać odpowiedzi, wziął swoją strzelbę pod pachę i poszedł do lasu, gdzie obozowali jego rodacy. Po drodze liczne pikiety pytały go: Kto idzie? nie odpowiadał żadnej, i temu tylko był winien życie, iż żołnierze znali upor Indian Kanadyjskich i zaciętą hardość dzikich.

Montkalm stał jeszcze czas niejakiś na miejscu, gdzie go Magna porzucił. Świeży przykład nieugiętego charakteru sprzymierzeńców dzikich, przykre obudził w nim uwagi. Przypomniawszy, że już jedno okropne zdarzenie w okoliczności podobnej do obecnej splamiło jego imię, i żywo uczuł, jaką odpowiedzialność bierze ten na siebie, kto byleby osiągnąć cel zamierzony, nie dba

o wybor środków; jak niebezpiecznie jest używać narzędzia, nie będąc pewnym czy jego skutki umiarkować się dadzą!

Lecz nakoniec wszystkie te myśli uznał za słabość w chwili tryumfu; powrócił do swego namiotu i ponieważ dzień zaczynał już świtać, kazał biciem w bębny obudzić całe wojsko.

---

## ROZDZIAŁ IX.

---

„O! tak srogich tygrysów, Hirkanija nie ma“

*Szekspir.*

**J**AK tylko bębny francuzkie odezwały się w obozie, natychmiast angielskie odpowiedziały im w twierdzy; a tejże chwili prawie, mocny dźwięk muzyki wojskowej, rozlegając się po całej dolinie, zagłuszył ich łoskot. Trąby i puzany zwycięzców nie przestawały grać wesoło aż póki żołnierze co do ostatniego nie stanęli pod bronią; lecz skoro piszczałki na wałach dały hasło poddania się twierdzy, wszystko ucichło w obozie.

Tymczasem weszło słońce i rzuciło blask

na świetną broń szyków francuzkich, czekających jenerała. Kapitulacya wiadoma powszechnie, dopiero została ogłoszona urzędowie i oddział wojska przeznaczony do zajęcia bram pozyskanej twierdzy, przeciągnął mimo wódza. Przygotowania poprzedzające przejście warowni w obce ręce, odbywały się z obu stron, lecz podług różnych okoliczności, różny stawiły obraz.

Na dany rozkaz ustąpienia z twierdzy, po wszystkich szeregach angielsko - amerykańskich dał się widzieć nagły i niechętny ruch do pochodu. Żołnierze z miną ponurą zarzucali na ramię broń nienabitą i szykowali się śpiesznie, a z ich twarzy i postaci można było wyczytać, że długim oporem rozjątrzeni na nieprzyjaciela, czekali tylko zręczności do zemszczenia się za obrazę wyrządzoną ich dumie, chociaż wolność wyjścia ze wszelką czcią wojskową, powinna była łagodzić to uczucie poniżenia. Kobiety i dzieci biegały tu i ówdzie, już



znosząc lekkie ostatki ich bagażów, już szukając między szeregami tych, na których opiece rachować mogły.

Munro ukazał się pośród wojsk swoich w mężnej, ale smutnej postawie. Jakkolwiek starał się utrzymywać pozor niezachwianej wytrwałości żołnierza, łatwo dawało się widzieć, że niespodziewana utrata twierdzy rozdarła mu serce.

Hejward mocno był wzrnszony; czynnie jednak spełniał swą powinność i potem zbliżył się do starca z zapytaniem: czyliby nie miał jeszcze czego mu polecić.

Munro dwa tylko wymówił słowa: *Moje córki!* Ale jakże wiele znaczącym głosem!

—*Mój Boże!*—zawołał *Dunkan*;—alboż jeszcze nie zrobiono rozporządzenia względem ich wyjazdu?

—*Dzisiaj jestem żołnierzem tylko, majorze,*—odpowiedział weteran,—*wszyscy których tu widzisz koło mnie, nie sąż mojami dziećmi?*

Tego było dosyć Hejwardowi. Nie tracąc ani chwili coraz droższego czasu, pobiegł do mieszkania zajmowanego niegdyś przez komendanta szukać jego córek. Obie były już na progu przygotowane do podróży i otoczone tłumem szlochających kobiet, które zebrały się tutaj, jak gdyby instynkt jakiś im radził, że w tém miejscu znajdą najpewniejszą opiekę. Kora chociaż blada i niespokojna, nie jednak nie straciła odwagi; ale czerwone i podbrzękłe oczy Aliny, świadczyły ile łez wylała. Obie z nietajoną radością ujrzały młodego oficera i Kora przeciw swemu zwyczajowi pierwsza przemówiła do niego.

— Twierdza stracona, — rzecze z posępnym uśmiechem; — przynajmniej spodziewam się że honor nam został.

— Owszem, nigdy niebył świetniejszy jak teraz! — zawołał Hejward. — Ale droga miss Munro, czas mniej troszczyć się o innych, a więcej o siebie. Zwyczaj wojskowy

i honor, ten sam honor, który tak umiesz cenić, nakazuje pólkownikowi i mnie, przynajmniej do pewnej odległości iść na czele wojska; gdzież teraz wśród zamieszania i nieładu znaleźć kogokolwiek, coby mógł opiekować się wami?

— Nie potrzeba nam nikogo, — odpowiedziała Kora: — któż będzie śmiał znieważyć albo skrzywdzić córki takiego ojca i w takiej chwili?

— Nie chciałbym jednak za dowództwo nad najlepszym pólkiem, zostawić was samych; — odparł major oglądając się na okóło i nie postrzegając nikogo prócz kobiet i kilkorga dzieci. — Pamiętaj że nasza Alina nie ma tyle mocy ducha, a Bóg wie jakie okropności spotkać ją mogą!

— Możesz mieć słuszość, majorze, — znowu przemówiła Kora, uśmiechając się smutniej jeszcze niż pierwej; — ale słuchaj: przypadek zdarza nam przyjaciela, którego jak powiadasz, nam potrzeba.

Major zamilkł i zaraz poznał o kim to mówiła. Przeciągła i poważna nótka pieśni świętych, powszechnie znajoma w osadach ku wschodowi położonych, obita się o jego uszy. Pobiegnął na miejsce skąd ten głos wychodził i znalazł tego, kogo spodziewał się znaleźć.

W przyległym domu opuszczonym już przez mieszkańców, Dawid Gamma siedząc przy stole plecami do drzwi, gorliwie wywodził pobożne tony. Duncan stał za nim póki ostatni spadek miarowego zniżania się jego ręki nie zapowiedział końca sztrofy, a potem uderzywszy go zlekka po ramieniu dla zwrócenia na się uwagi, krótko objaśnił czego żądał.

— Bardzo chętnie, — odpowiedział poczciwy uczeń króla proroka. — Sama melodia i harmonija wydaje się w tych dwóch młodych damach; a przytém kiedy razem byliśmy w niebezpieczeństwach tak wielkich, słuszna też, żebyśmy razem odbywali

podróż w pokoju. Zaraz pójdę do nich jak skończę modlitwę poranną: tylko jeszcze *Chwała Ojcu* dośpiewać potrzeba. Może prześpiewamy razem? Nótą nie trudna: jest to właśnie ta, którą znają wszyscy pod imieniem Sutwela.

To rzekłszy Dawid otworzył książkę i przegrawszy na swoim instrumencie dla dobrańia touu, zaczął śpiewać tak pilnie, iż Hejward musiał czekać póki nie skończy, a nareszcie kiedy już włożył okulary do futerału i książkę do kieszeni, odezwał się do niego:

— Będiesz łaskaw, przyjacielu, postrzegać żeby nikt nie ubliżył tym damom po winnego uszanowania i nie pozwalał sobie w ich obecności gawęd grubijańskich, bądź czerniących postępkę ich ojca, bądź urągających jego nieszczęściu. Słudzy ich będą ci w tém pomocą.

— Bardzo chętnie, — powtórzył Dawid.

— Bydź może, — mówił dalej major, —



że gdziekolwiek na drodze spotkacie jaką bandę Indyan, albo włóczęgów francuzkich: w takim razie przypomnisz im warunki kapitulacyi i pogrożisz, jeśli by tego wymagała potrzeba, zanieśieniem skargi do Montkalma: Jednego słowa będzie dosyć.

— A jeżeli by nie było dosyć, przemówię do nich innym tonem, — odpowiedział Dawid biorąc się za swoje okulary i kantyczki, z miną pobożnego zaufania. — Mam ja tu pieśń jedną, która przy mocnym głosie i muzycznym takcie, największego zuchwalca poskromi. I natychmiast zaintonował:

„Po co poganie! ta wściekłość zawzięta?.....

— Dobrze! dobrze! — zawołał Hejward przerywając to napomnienie muzyczne. — Zrozumieliśmy się, i czas już żeby każdy z nas pomyślał o swoich obowiązkach.

Dawid skinął głową i obadwa poszli razem. Kora grzecznie przyjęła nowego i nieco osobliwszego opiekuna swojego, a blade policzki Aliny ożywił na chwilę uśmiech

figlarny, kiedy dziękowała majorowi za tak dobry wybór.

Dunkan odpowiedział że uczynił wszystko, co mu okoliczności pozwalały, a z resztą ponieważ najmniejszego niebezpieczeństwa spodziewać się nie należało, obecność Dawida powinna była uspokoić ją zupełnie. Przyrzekłszy nakoniec połączyć się z nimi o kilka mil od Hudsonu, pośpieszył stanąć na czele wojska.

Rozkaz pochodu był już wydany i kolumny angielskie ruszały z miejsca. Bębny zagrzmiały nagle: na głos ten obie siostry wstrzęsły się i wybiegły z domu. Pierwszym widokiem, co je przeraził, były białe mundury grenadyerów francuzkich piloujących już bram warowni, a kiedy zbliżyły się do przedmurza, zdało się im jakby obłoczek jakiś mignął w powietrzu; podniosły oczy i postrzegły nad swojemi głowami pływającą białą chorągiew Francyi.

— Prędzej, uchodźmy stąd! — zawołała

Kora, — nie przystoi córkom oficera angielskiego zostawać tu dłużej.

Alina podała jej rękę: a otoczone tłumem kobiet i dzieci wcisnęły się w bramę. Oficerowie francuzcy wiedząc że były córkami komeudanta, oddawali im znaki uszanowania, lecz przez delikatność uczucia wstrzymywali się od wszelkich innych grzeczności, które w podobnym razie nie mogły być im przyjemne.

Ponieważ ledwo wystarczało koni i powozów dla ranionych i chorych; Kora i Alina wolały iść piechotą, niżeli którego z tych nieszczęśliwych pozbawić nieodbicie potrzebnej pomocy. I tak jeszcze wielu niezupełnie ozdrowionych i słabych, musiało wlec za wojskiem wycieńczone swoje członki; gdyż nie było w pustyni żadnego śródka ulżenia im podróży. Wszystko jednak ciągnęło jakimkolwiek bądź sposobem: żołnierze w ponurem milczeniu, niedołążni i kalecy z jękiem i bólem, kobiety i dzieci

przejęte strachem, chociaż same nie mogły powiedzieć jego przyczyny.

Kiedy ostatnia ta gromada opuściła twierdzę, gdzie nie było już schronienia ani dla siły uzbrojonej ani dla słabości bezbronnej, całkowity obraz rozwinął się na płaszczyźnie. W niewielkiej odległości po prawej ręce, uszykowane wojska Montkalma stojąc pod bronią przepuszczały zwyciężonych, podług umowy, ze wszelką czcią wojskową. Francuzi przypatrywali się uważnie i w milczeniu: żadne urągowisko, żadne słowo dotkliwe nie obito się o uszy Anglików. Załoga przeszła z trzech tysięcy ludzi złożona, dwóma szeregami zmierzała do jednego punktu, skąd droga przez las szła nad Hudson. Wciąż po za całym brzegu puszczy widać było chmury Indian jak sępów łakomie poglądających na blizką zdobycz i tylko obecnością większej siły wstrzymywanych od rzucenia się na nią. Kilku ich jednak wmięszało się między rozmaite gro-

mady krokiem nierównym dążące za wojskiem, gdzie także byli i opóźnieni żołnierze, mimo surowy zakaz wydalania się z szeregów: dzicy ci atoli, mieli powierzchowność spokojnych, lubo ponurych widzów.

Kiedy już przednia straż prowadzona przez Hejwarda weszła do lasu i powoli znikwała z oczu, rozruch swarliwy w gromadzie niedalekiej od kobiet zwrócił uwagę Kory. Jakiś żołnierz z wojsk prowincjonalnych, za karę nieposłuszeństwa, został zagrożony utratą ciężaru, który opóźniał jego kroki. Jeden Indyanin chciał mu odebrać manatki: Amerykanin był silny i nie gotów bez oporu zrzec się własności: wszczęła się więc zwada, a wkrótce i bitwa powszechna. Sto dzikich jakby cudownie zjawiało się na tém miejscu, gdzie tylko co, ledwo dziesiątek ich było, i kiedy ci wspierali napastnika, a Amerykanie bronili towarzysza, Kora postrzegła Maguę z całą mocą swojej wymowy zdradliwej przemawia-



jącego do rodaków. Kobiety i dzieci nie śmiejąc iść dalej, cisnęły się jedne do drugich jak stado przestraszonych owiec. Lecz wnet skoro chciwy Indianin otrzymał czego żądał i odszedł ze zdobyczą, dzicy cofnęli się na bok, jak gdyby chcieli dać wolne przejście Amerykanom i nie mieli zamiaru turbować ich więcej.

Wszystko znowu ruszyło w drogę i przyszła kolej na kobiety pomijać Huronów. Jeden z nich postrzegłszy na przechodzącej blisko, szal żywego koloru, bez wahania się wyciągnął po niego rękę. Kobieta ta niosła dziecię przykryte końcem szalu, i bardziej z przestachu niż w zamiarze bronienia własności, dziecko razem z szalem mocno przytuliła do piersi. Kora tylko co już chciała zawołać na nią, żeby zaspokoiła chciwość dzikiego, lecz ten opuścił szal, a porwał dziecię. Matka bez przytomności, z rozpaczą wyrytą na twarzy rzuciła się do niego chcąc odebrać syna. Indianin z okró-

nym uśmiechem jedną rękę wyciągnął ku niej na znak, że gotów uczynić zamianę, a w drugiej trzymając niemowlę za nogę kręcił je koło głowy, jak gdyby chciał pokazać przez to ile przywiązywał ceny dożądanego okupu.

— Na! — bierz! — oto masz! — bierz wszystko! — wołała przerażona matka ledwo mogąc oddychać, i drżącą ręką zrzucając z siebie odzienie, jakie tylko napędzce zdjąć mogła; — bierz wszystko co mam, a oddaj mi dziecko!

W tém drugi Huron podpadł i chwycił szal na powietrzu. Dziki stratą upragnionej zdobyczy wzburzony do wściekłości, zdeptał inne sprzęty ofiarowane jemu i rozłukłszy głowę dziecka o kamień, drgające jeszcze członki rzucił matce pod nogi. Niezsześliwa na moment zmieniła się w posąg. Obląkane jej oczy utkwiły się bez ruchu w martwe jestestwo, co przed chwilą na jej łonie tak mile uśmiechało się do niej.

Podniosła potem głowę w górę, jak gdyby chciała błagać nieba o pomstę nad zbrojną; lecz barbarzyńcem widokiem świeżej krwi rozjuszony jeszcze bardziej, podniósł tomahawk i zdruzgotał jej czaszkę. Padła na ciało dziecka i skonała.

W tej chwili przesilenia, Magua przyłożył obie dłonie do gęby i wydał straszliwy krzyk wojny. Rozsypani po wszystkich stronach Indianie odpowiedzieli mu na wyścigi; okropne wycie rozległo się od brzegów lasu aż do końca doliny.

Podobnie jak szybko wyskakują konie biegowe, kiedy im szranki otworzą, więcej dwóch tysięcy Indian, w mgnieniu oka wybiegłszy z lasu rzuciło się na tylną straż wojsk angielskich, jeszcze ciągnącą przez dolinę i na rozmaite gromady, które po osobno szły za wojskiem. Nie będziemy kreślić widoku jaki odkrył się natenczas: jest on zbyt okropny. Indianie byli uzbrojeni zupełnie; Anglicy nie spodziewali się na-

paści; żołnierze ich nie mieli broni nabitej, a większa część osób składających ostatnie kupy, żadnego nie mogła dać oporu. Śmierć za tém grasowała wszędy i w najohydniejszej postaci. Obrona służyła tylko do rozjątrzenia drapieżności morderców. Pastwili się oni nawet nad ciałami już pozabawionemi czucia. Krew płynęła strumieniem: widok jej zapalał w nich pragnienie do tego stopnia, że niektórzy uklękłszy na ziemi pili ją z rokoszą piekielną.

Wojska wyćwiczone, prędko uszykowały się w kwadrat i to je ocaliło. Chociaż wielu żołnierzy w próżnej nadziei zaspokojenia chciwych barbarzyńców pozwoliło sobie wydrzeć z rąk nienabite karabiny, żaden jednak szereg złamany nie został. Klęska rzezi spadła całkiem na bezbronne tłumy podróżnych.

Wśród takiego widoku, dwie siostry skamieniałe ze strachu, przez dziesięć minut, które wydały się im dziesięciu wieka-

mi, stały na miejscu. Za pierwszym ciosem kobiety i dzieci z wrzaskiem skupiły się koło nich tak mocno, iż nie podobna było myśleć o ucieczce, a później kiedy tłum rozbiegł się próżno unikając niechybnej zguby, w żadną stronę nie mogły dać kroku, żeby nie wpaść pod tomahawki dzikich. Krzyk, jęki, płacz, narzekania i przekleństwa, mieszały się z rykiem Indyan.

W tém Alina postrzegła wysoką postać oficera angielskiego śpiesznie dążącego przez równinę ku stanowisku wojsk Montkalma. Zdało się jej, że to ich ojciec, i w istocie był to Munro. Niebaczny na wszystko co go spotkać mogło, biegł on zapytać jenerała francuzkiego, gdzie jest przyrzeczone bezpieczeństwo i domagać się pomocy, bardzo już późnej. Tomahawki jedne po drugich podnosiły się na niego, kilkadziesiąt nożów groziło mu kolejno: starzec silnem jeszcze ramieniem spokojnie odpychał ręce sięgającej po jego życie, lecz ani używał innej obrony,



ani opóźniał kroku. Jego stopień, wiek i nieustraszoną odwagę, takim uszanowaniem przejmowały dzikich, iż żaden nie śmiał zadać wymierzonego ciosu. Na szczęście przytem, mściwy Magua szukał go natenczas w szeregach przedniej straży.

— Ojcie! Ojcie! My tutaj! — zawołała Alina poznawszy go nakoniec. — Ratuj nas kochany ojcie! ratuj bo zginiemy!

Głos ten zdolny zmiękczyć serce kamienne powtórzył się wielekroć, lecz zawsze napróżno. Ostatnim razem wszakże, zdawało się że Munro coś usłyszał; ale ponieważ Alina padła omdlona, a Kora ze łzami rzuciła się na nią, nie mógł ich postrzedz i smutnie wstrząsnąwszy głową szedł dalej, myśląc tylko o spełnieniu tego, co powinność wymagała po nim.

— Panienci! — rzecze Dawid, który chociaż bezbronny, nie pomyślał do tąd opuścić stanowiska; — Jestto jubileusz diabłów

nie przystai chrześcianom dłużej zostawać tutaj. Wstawajcie i uciekajmy.

— Uciekaj sam, staraj się ratować siebie: nam nic dopomodz nie możesz, — odpowiedziała Kora ciągle trzymając siostrę w objęciach.

Gwałtowne jej portuszenia przy tych słowach zwróciły uwagę Gammy na Alinę pozbawioną czucia. Poznał że siostra jej nie odstąpi i znowu rzucił wzrok na szatanów roznoszących morderstwa; pierś mu się wzdęła, wyprężyła się jego postać wysoka, a na całej twarzy widać było, że wstrzęsło nim nowe i mocne uczucie.

— Jeżeli młody pasterz Hebrajski, — rzecze do siebie, — mógł dzwiękiem arfy i pieniem swoich hymnów boskich, poskromnić złego ducha Saulowego; zacóżbyśmy teraz nie sprobowali władzy muzyki świętej?

Dobyszy potém całego głosu, zaintonował pieśń pobożną z tak wysokiego tonu, że słyszano go pomimo krzyk rozpaczny, jęki u-

mierających i zwierzęce wycia zabójców.

Kilku dzikich posunęło się już do córek Munra w zamiarze obdarcia im głów i ubiorów; lecz postrzegłszy ogromną masę bez ruchu stojącą przy nich i jakby zachwyconą myślami swojego śpiewu, wstrzymali się i zaczęli słuchać. Podobała się im nieustraszona stałość, z jaką wojownik biały śpiewał swoją pieśń śmierci. Popatrzeni na niego z uwielbieniem i wyrażając jedni drugim wspólne zadowolenie poszli szukać innych ofiar i innych zdobyczy.

Zagrzały i złudzony tem powodzeniem Dawid, sądząc że wpływ świętej władzy działać zaczyna, podwoił usilność. Głos ten nadzwyczajny zastanowił jakiegoś Indyanina, który jakby nie racząc mordować lada kogo przebiegał rozmaite gromady i szukał ofiary godnej siebie. Był to Magua: zwrócił się on w tę stronę i postrzegłszy dawniejsze swe branki znowu w swojej mocy, wydał przeciągłe wycie tryumfu.

— Pódź! — zawołał potém, okrwawioną ręką chwytając Korę za suknię; — pódź do wigwamu Hurona! Czyliż ci tam nie będzie lepiej niż tutaj?

— Precz odemnie! — odpowiedziała Kora odwracając głowę.

Indianin wyciągnął jej przed oczy zbroczoną we krwi rękę i rzekł z okrótnym uśmiechem:

— Ona czerwona; ale ta czerwoność z żył białych.

— Potworo! — zawołała nieszczęśliwa, — to ty jesteś sprawcą wszystkich tych okróceństw!

— Magua wielki wódz, — odpowiedzia Huron tonem tryumfującym. — No cóż, czy dziewczyna czarnowłosa pójdzie za nim do jego narodu?

— Nie! nigdy! — odważnie wyrzekła Kora: — zabij mię, jeśli chcesz, nasyć twoję zemstę piekielną.

Magua sięgnął po tomahawk, lecz wnet

się wstrzymał, wahał się jeszcze przez chwilę, a potem jakby nagłą uderzony myślą, chwycił na ręce martwą prawie Alinę, i pobiegł ku lasowi.

— Stój! stój! — wołała Kora z obłąkanym wzrokiem pędząc się za nim, — stój nędzniku! Puść to dziecko! Cóż więc chcesz uczynić?

Ale Lis Chytry był głuchy na to wołanie; albo raczej widział jaką własność miał ciężar będący w jego ręku, i chciał z niej korzystać.

— Poczekaj, panienko, poczekaj! — wołał ze swojej strony Dawid; — poczekaj; już moc święta działać poczyna i wkrótce uśmierzy się piekielna wrzawa.

Lecz widząc że go także nie słuchano, wierny Gamma pobiegł za rozpaczającą siostrą i zacząwszy pieśń nową, podług niezbędnego zwyczaju, to podnosił to zniżał długie swe ramię. Tak przebiegli płaszczynę wśród umierających i martwych, mordo-



wanych i morderców. Alina w ręku srogiego Hurona była bezpieczna; ale Kora stokroć uległaby pod ciosami rozjuszonych nieprzyjaciół, gdyby nie dziwna istota, co się przyczepiła do niej; dzicy bowiem mniemali że psalmista był obdarzony duchem szaleństwa, i to ocaliło ich oboje.

Magua przemyślny na sposoby unikania wszelkich niebezpieczeństw i pogoni, wazkim parowem wpadł do lasu, gdzie go czekały konie, które znalazł przed kilku dniami porzucone od podróżnych. Trzymał je drugi barbarzyńiec nie mniej odrażającej twarzy. Lis Chytry przewiesiwszy na jednym ciało Aliny pozbawione czucia, dał znak Korze żeby dosiadła drugiego.

Mimo okropność jaką przejmowała ją obecność tego człowieka, uczuła ona niejakaś ulgę, skoro obmierzły widok morderstw znikł jej z oczu. Wsiadła na koń i wyciągnęła ręce do siostry z tak tkliwym wyrazem, że sam Magua został

wzruszony i umieścić Alinę na jedném z nią siodle. Wziąwszy potém cugle szybko poprowadził w głąb lasu.

Dawid w mniemaniu dzikich i tego nawet nie wart żeby go pozbywać się uderzeniem tomahawku, widząc iż nikt o nim nie myślał, zarzucił długą swą nogę na pozostałego konia, i jako człowiek zawsze ścisły w pełnieniu wszystkiego, co sobie za powinność uważał, jechał przy nieszczęśliwych siostrach tak blisko, jak mu niedogodna droga pozwalała.

Wkrótce zaczęli wstępować pod górę, lecz ponieważ ruch jazdy, orzeźwiał powoli Alinę, Kora mając uwagę raz zajętą troskliwém staraniem koło siostry, drugi raz rozerwaną gwałtownym krzykiem podnoszącym się z doliny, nie zważała dokąd ich prowadzono i aż dopiero na spłaszczonym wierzchołku skały, poznała miejsce gdzie przed kilku dniami, bardziej ludzki przewodnik uważał ich za bezpiecznych zupeł-

nie. Tu Magua zatrzymał się i pozwolił zsiąść z koni. Zdaje się, że okropność ma niepokonaną dla ciekawości ponętę: nie-szczęśliwe branki, chociaż same w najsmut-niejszem położeniu, uczuły jednak chętkę spojrzeć na opłakane widowisko, rozwija-jące się prawie pod ich stopami.

Dzieło śmierci dokonywało się jeszcze: Huronowie ze wszech stron ścigali resztę swych ofiar, a półki francuzkie uszykowa-ne i pod bronią stały w tém osłupieniu, które niewytłumaczone dotąd, rzuciło nie-startą plamę na imię ich wodza. Dzicy pó-ty broczyli się we krwi, póki chciwość zdobywcy nie wzięła góry nad pragnieniem rzezi. Zwolna zaczęły słabiec jęki konają-cych, nakoniec powszechny okrzyk tryumfu barbarzyńców zatłumił wszystko.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA**  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77  
Tel. 26-68-63









F

15.435/1